



N.P.T. 1636



NOWOROCZNIK

TOWARZYSTWA DZIENNIKARZY
I LITERATÓW POLSKICH

NA RZESZĘ NIEMIECKĄ



POZNAŃ
NAKŁADEM TOWARZYSTWA

CZCIONKAMI DRUKARNI J. LEITGEBRA

SPIS RZECZY:

	Str.
Acer: Fala życia	25
„ Czy wiosna	54
Bieńkowski Adam dr.: Aforyzm	55
Bończa Michał: Boże mój Boże	45
Celichowski Zygmunt dr.: Z przeszłości Japonii	19
Czartoryski Zdzisław książę: Wspomnienie z dziecińczych lat	60
Engeström Wawrzyniec hr.: * (bez tytułu)	56
Gawroński Fr. Rawita: Aforyzm	53
Inlender Adolf Władysław: Aforyzm	24
Iry: Czy pominisz?	62
Jeremi Bronisława: Fraszka	64
Kościelski Józef: Rozmyślenia lubownika starego wina	63
Kościelski Władysław August: Z cyklu „ze wsi“	23
Krzep: Róże	64
Krzywoszewski Stefan: Aforyzm	64
Lemański Jan: Polonez	22
Lebiński Walery: Z cyklu sonetów	69
Marko: Ze wspomnień lekarza	6
Mizerski Ludwik dr.: Niespodzianka	59
Mycielski Ludwik dr.: Przed 100 laty	49
Nawrowski E. ks.: U kresu	70
Picchocki Edmund: Pobudka	71
Posadzy Ludwik: Chłop, mędry i ciełe	68
Rakowski Kazimierz dr.: Z ręki aniołów	26
Rittner Tadeusz: Kobietom	68
Rwan: Mojej	53
Rydel Lucyan: Pieśń Straży	44
Seyda Maryan dr.: Są uroczyska	48
Skarżyński Witold dr.: O frymarce ziemią	35
Szalay Walerya: Fragment	52
Szembekowa Marya hr.: Modlitwa	29
Szmyt Józef: Do kolegów redaktorów	5
Szuman Henryk dr.: Wspomnienia z Goli	65
Trzeciński T. ks. prof.: Pieśń o zwycięstwie chocimskim	10
Ułaszyn Henryk dr.: Z wycieczki	46
Węzyk Paula: Oczy	33
Wrzesiński Seweryn: Pragnienie	34
„ „ Nastroj słotnej nocy	48
Zakrzewski Zdzisław ks.: Z obrazów kultury	31

Do kolegów redaktorów!

Dnia pewnego redaktor, siedząc w swoim biurze, powziął zamiar napisać:

Koledzy po piórze!

Dziś dążność do zjednoczeń wszędzie czuć się daje i viribus unitis każdy w szereg staje, by dobrze przycisnąwszy do ramienia ramię poznał, że siła wspólna przeciwności łamie.

Gdy w rzemiośle są cechy, a w rolnictwie Kółka, czemu też nie ma istnieć redaktorów spółka?

Długo się nad tą sprawą obrady toczyły — ale brakło jedności — przedsiębiorczej siły, a przecież — wiedzmy o tem: naszych piór potęga dzisiaj bardzo wysoko i daleko sięga. Światu głosim reformy, karcim obyczaje, gdy nam się który zgubnym społeczeństwu zdaje. My wskazujemy drogi, jakimi należy postępować niewieściej i męskiej młodzieży. Pióro nasze być może ostrem, lub łagodnem, często według potrzeby karcącym, lub zgodnem. I niech tam sobie na nas niechętny ujada, stan nasz wśród społeczeństwa tę „wyższość“ posiada: Niejeden interesem będąc powiązany, lub też niedomaganiem w zdrowiu gdy nękany, mówi: mam adwokata! mam swego doktora! lecz nikt nie powie: ja mam swego redaktora!

Bo my nie należymy zgoła do nikogo, wyjąwszy do narodu — a wtedy nam błogo, kiedy widzimy plony ze sumiennej pracy i gdy nam szczerą wdzięczność okażą rodacy.

Pracujem pod obuchem przemocy nam wstrętnej, tak rzadko sprawiedliwej, a zawsze niechętniej.

My nie wynajdujemy faktów niebywałych. My zawsze się trzymamy zasad naszych stałych, że naród ciemniony na prawdzie oparty, tylko prawdą iść może — w niej odpór otwarty! Prawdą zajdziem najdalej, ta zawsze zwycięża! To też my się podłego nie chwycim oreża!

My szanujem narody, jak który zasłuży, z każdym pragnęlibyśmy żyć w zgodzie najdłużej — byleby wszystkim wolność przekonania głosił — byleby nie w papierach lecz w czynie ją nosił — byleby, wytwarzając ucisk niesłychany, sam obłudnie nie twierdził, że jest uciskany!

Oreżem prawdy walcząc, nie miejmy obawy: sąd świata względny będzie — a nawet łaskawy!

J. Szymt, redaktor

Ze wspomnień lekarza.

Skoro uważacie, moi drodzy, że teraz kolej na mnie by wam opowiedzieć jakieś wybitniejsze zdarzenie z mych wspomnień zawodowych, to proszę, zapalcie cygara, siadźcie wygodnie i przygotujcie się na dłuższą, a nie wesołą opowieść.

Dramatyczne zdarzenia w życiu lekarza, mają tę przykrą dla niego właściwość, że nie bywa on nigdy wobec nich prostym widzem. Przychodzi mu zwykle brać w nich czynny udział, a potem ponosić wewnętrzną odpowiedzialność za odegraną rolę. Gdzież jest człowiek, któryby zawsze wiedział, nie tylko jak postąpić w danej chwili, ale później nawet jak osądzić własny czyn? W wypadku, o którym będzie mowa, nie wiem do dziś dnia czym był mógł, lub powinien postąpić inaczej. Osądźcie sami.

Muszę przedewszystkiem cofnąć się wstecz aż do epoki mego życia, gdzie wcale jeszcze nie przewidywałem, że medycyna stanie się mym zawodem i gdzie jedyna odpowiedzialność którą ponosiłem, była odpowiedzialność za błędy w extemporaljach łacińskich. Mieszkałem wówczas, wraz z pół tuzinem kolegów u profesora gimnazjalnego i kułem pilnie, by się nie dać zepchnąć z miejsca prymusa. Najmniej niebezpiecznym rywalem pod tym względem, był mi kolega, z którym dzieliłem od kilku lat studencki pokoik, i którego zresztą szczerze lubiłem. Staś — nazwijmy go tak — wstąpił do gimnazjum jednocześnie ze mną i do tej samej klasy, ale ponieważ miał zwyczaj, dla większej pewności, powtarzania dwa razy tej samej klasy, więc rozdział między nami stawał się coraz większym.

Mimo to, przyjaźń nasza trwała dalej, i pamiętam że był on wymyślił specjalne zdrobnienie mego imienia. Nazywał mię, zamiast Julkiem, Julisem, i umiał to wymawiać ślicznym, pieszczotliwym, błagalnym tonem, gdy chciał abym jakieś zadanie za niego odrobił. Ulegałem też zwykle, mimo mej wrodzonej skrupulatności; co jednak

nie starczyło by mu wyrobić lepsze stopnie, bo nie mogłem uczyć się za niego, a on nigdy na to czasu nie miał! Zato Stasiowi starczyło zawsze czasu na wszelkie możliwe, nadprogramowe zajęcia.

Był to wesoły, sympatyczny chłopiec, z wichrem jasnych włosów nad czołem, z małemi śmiejącemi się oczkami, które wciąż przy-mrużał, czy to wśród śmiechu, czy to wobec silniejszego światła, i z ładnemi zdrowemi zębami. Zęby te były wiecznie zajęte chrupaniem łąkoci, bo Staś był łąkomy jak młody kociak, i cukiernie miejscowe miały w nim pierwszorzędnego odbiorcę.

Pochodził z porządnej, niezbyt zamożnej rodziny, ale miał bogatych krewnych, i jakoś tak zręcznie manewrował, że portmonetka jego bywała o wiele częściej zasilaną niż nasze. Pieniądze wprawdzie nie miały czasu u niego zardzewieć. Staś nigdy małym zadowolici się nie potrafił, wszystko u niego mnożyło się, rosło, olbrzymiało. Skoro kupował śliwki, to przynajmniej pół solówki naraz, i częstował na prawo i na lewo. Któregoś dnia, pamiętam przyniósł 60 paczków. Tego dnia było 6 indygestyi u naszego profesora!

Prócz zamiłowania do słodyczy i częstowania, miał specjalne upodobanie do płatania figli. Posiadał niesłychany talent naśladowania cudzego pisma i posługiwał się nim ku wielkiej naszej ucieście. Czasami był to list wysłany, niby to, przez jednego z profesorów do któregoś z naszych kolegów, karcący tegoż za taki wybryk jak gra w bilard! — czasami list niby to od jakiejś kumoszki do naszej pani profesorowej, w którym jej grożono zemstą za plotkę, i tym podobne figle. Było to dość zręcznie zrobione i nie wydało się.

Jednak im bardziej rozsądniałem, tem mniej zaczynały mi się podobać te psoty, aż któregoś dnia rozgniewałem się na seryo na mego Stasia.

Przynosi do naszego pokoju paczkę starannie owiazaną różową wstążeczką, a zamknąwszy drzwi za sobą, rozwija ją i wydobywa funtowe może pudełko cukierków ślicznie malowane w niezapominajki. Mielśmy po 15 lub 16 lat — zacząłem przypuszczać, że Staś dostał ów dar od jakiej kuzyneczki i dopomagałem mu w tępieniu łąkoci, ale z rodzajem poszanowania wobec czulego ich pochodzenia. Staś mi zaimponował!

A trzeba wiedzieć że nieomal naprzeciwno nas, była pensya panien, i że jeden z naszego pół tuzina, Ludwiś, kochał się na zabój w pannie Zosi z pensyi, choć jej osobiście nie znał. Byłem pewien że Staś mój znalazł także swoją Zosię i widocznie słodkie z nią zawarł stosunki, gdyż w kilka dni później znowu zjawilo się pudełko cukierków, równą otoczone tajemnicą.

Po kilku dniach, zalecając mi na nowo sekret, stawia mój Staś na nasz stolik do pracy, tym razem nie cukierki, ale butelkę likworu! Wydało mi się to jednak podejrzanem! Panny mogą przysyłać cukierki, ale chyba nie likwory! więc gdzież słowo zagadki?

Odsłoniła mi się nagle, kiedy wracając niespodzianie ze spaceru, zastaję Stasia nad zadaniem kaligraficznym. Wypisuje on ślicznym kobiecym pismem, liścik miłosny od Zosi do Ludwika, w którym ona go tym razem prosi, w dowód miłości, o kielbaski, które jej mają zostać wręczone za pośrednictwem Stasia.

Ten żart przestał mi się zupełnie podobać! tem bardziej gdy Ludwiś dowiedziawszy się o owej mistyfikacji, rozchorował się z rozpaczy. Staralem się wytłumaczyć Stasiowi różnicę między figlem bezinteresownym a żartem własną korzyść mającym na względzie, ale nie mogłem czy nie chciał zrozumieć, i od tej pory, chociaż nie przestałem go lubić, mój szacunek dla niego znacznie się obniżył.

Wkrótce też potem, gdy znowu uznał za potrzebne powtórzyć klasę, rodzice, zwątpiwszy o jego przyszłości naukowej, odebrali go z gimnazjum i oddali gdzieś do praktycznego zawodu.

Lata minęły, zapomniałem zupełnie o Stasiu, gdy przypadkowo usłyszałem że zabrał się do spekulacji budowlanej i że robi dobre interesy.

W jakiś czas znowu mówiono mi, że te interesy przestały być świetne; ale zajęty wywalczaniem sobie własnego bytu, o bliższe szczegóły życia mego dawnego kolegi nawet nie pytałem.

Zostawszy lekarzem, osiedliłem się w małym mieście powiatowym na kresach i ponieważ byłem tam jedynym lekarzem polskim, zaczynałem wyrabiać sobie nie złą praktykę. Praca jednak była uciążliwą, bo polegała głównie na jeźdźeniu po wsiach okolicznych, i bywały czasy, kiedy prawie wcale z wózka, i to ze złego chłopskiego wózka, nie schodził.

Pod wieczór takiego dnia zasiadłem był właśnie do kolacji, w błogiej nadziei położenia się wcześniej do łóżka, kiedy nagle szarpnięcie mego dzwonka, wyrwało mi nasze rodzime, krew i najwierniejszego przyjaciela człowieka przypominające, przekleństwo.

„Maryanno, proszę rozmówić się mądrze“, zawołałem i wpuścić tylko w razie koniecznej potrzeby!

Maryanna wyszła do sieni i zaczęły się tak długo trwające pertraktacje, że niespokojny o los mej nocy, odemknąłem ostrożnie drzwi i zacząłem nadśłuchiwać. Ale ponieważ w sieni było ciemno, a u mnie paliła się już lampa, więc pasmo światła zdradziło mię i usłyszałem nagle wołanie:

„Julisiu!“

Otworzyłem drzwi. Przedemną stał mój Staś z dawnych lat! Ten sam wicher jasnych włosów, to samo przymrużenie oczu wobec światła padającego przez otwarte drzwi, ale wyraz twarzy jakże inny! Gdzież się był podział wesoly, dziecinny śmiech?

Wprowadziłem go do siebie, posadziłem, poczęstowałem kolacją, ale on wziął tylko łyk piwa i siedział milczący, przygnębiony. Wzrok miał taki przerażony, ponury, że skoro tylko Maryanna zatrzasnęła za sobą drzwi, sam zacząłem, klepiąc go po ramieniu, namawiać do spowiedzi.

„Julisiu,“ zaczął — ty jeden możesz mię wyratować!

„Naturalnie“ — potrzeba pieniędzy — pomyślałem. Chodzi tylko o wielkość sumy. Czy nie przekroczy mych środków?

„Przychodzę do ciebie“ — ciągnął dalej — jako do przyjaciela i lekarza. Uczułem, że mi Bóg zsyła ratunek, gdy w przejeździe wyczytał twoje imię i nazwisko na godle. Julisiu! ja muszę umrzeć.

„To imaginacya“ zawołałem, zdrów jesteś i tęgi. Masz dużo lat życia przed sobą.

„Miałbym“ odparł — „ale ja się muszę zabić.“

Podskoczyłem: Nie, na to nie pozwolimy.

„Przeciwnie“ — mówił dalej prawie szeptem teraz — „ja chcę abyś mi dopomógł sprzątnąć się ze świata.“

„Oszalałeś — co się stało?“

Wówczas zaczął swoją opowieść cichym, urywanym głosem. Opowiadał jak zaczął swe przedsiębiorstwa budowlane przy pomocy majątnego wuja, jak z początku nie źle mu się wiodło, ale ściagała go jego mania czerpania z pełnego, robienia wszystkiego na wielką skalę. Więc rosły jego budowle, zbyt wielkie na miejscowości i stały potem pustkami, i rosła też cyfra jego długów. Gdy już ratunku nie było, pojechał nie po raz pierwszy, do wuja po pomoc. Lecz ten odmówił.

„Odjechałem“ — ciągnął dalej — z rozpaczą w sercu. Stałem wobec zupełnej ruiny. Jak wymówić, co się potem stało? Pamiętasz mój talent do naśladowania cudzego pisma? rozumiesz?

Zadrzałem: „Tyś“ — zacząłem.

„Milcz“ — przerwał mi — wszystko cobyś mógł powiedzieć, powiedziałem sobie, Ja przecież także miałem uczciwych rodziców i uczciwą przeszłość, choć lekkomyślną. I dlatego widzisz, że muszę umrzeć. Tej nocy trzeba mi umrzeć! Gonią mię już. Jak się to tak prędko wydało? Bo między moją wizytą u niego a . . . ową chwilą, wuj został rażony paraliżem, a spadkobiercy . . . Teraz wiesz,

i daj mi trucizny, bo ja się śmierci nie boję, ale bólu i długiego konania. Daj mi morfiny lub cokolwiek poczem by się człowiek nie męczył. Jak nie dasz, zabiję się mimo to, a będę się strasznie męczył. Julisiu, daj!

I zaczął błagać, błagać godzinami. Łzy mi się lały, proponowałem mu te kilka set marek, któremi rozporządzałem, by uciekł za granicę, ale trucizny dać nie chciałem. Błagał tak długo, tak rozpaczliwie, że stara Maryanna odemknęła drzwi i zaczęła mię też prosić za niego, nie wiedząc o co chodzi.

Niech mu Pan Doktor da, kiedy on tak potrzebuje. Pan Bóg wynagrodzi.

Wyrzuciłem ją, ale już, już miałem w ręku kluczyk od mej podręcznej apteki. Cofnąłem się jednak.

Cóż dłużej mówić? — nie dałem.

Po kilku godzinach walki ze mną, uciekł jak szalony, nie pożegnawszy się, i przeklinając mię.

Nie kładłem się wcale tej nocy. Gdy nad ranem zadzwieczał mój nocny dzwonek, nie zdziwiłem się. Wiedziałem! Więc nie pytałem do kogo? tylko: dokąd? Zastałem go w nędznej oberży. Zażył był sublimatu.

Męczył się dziesięć dni. Ratunku nie było, bo otruł się zaraz po wyjściu odemnie, a nad ranem dopiero dostano się do niego.

Nie zapomnę nigdy spojrzenia, którem mię przywitał, gdym wchodził do pokoju.... Cierpiał okropnie, ale nie patrzyłem do końca na jego katusze, bo rzecz straszna, i której bym mógł zagrozić, gdybym był dał szybszej trucizny — ręka sprawiedliwości go dosięgła, i umarł w szpitalu więziennym.

A teraz osądźcie — czym mógł inaczej postąpić?

Marko.

Pieśń o zwycięstwie chocimkiem.

Takiem bogactwem dum i pieśni historycznych, jak Rusini a zwłaszcza Serbowie, my Polacy poszczycić się nie możemy. U tamtych słuchanie śpiewów o pełnych chwały czynach poprzedników i zagrzewanie się niemi do boju stanowiło główne tło narodowego życia, u nas miało znaczenie tylko podrzędne, dopóki zupełnie nie zgasło. W polskich obozach przeważała pieśń nabożna. Z *Bogarodzicą* na ustach szedł żołnierz do boju, a gdy ta w wieku XVII, mimo starania kawalera Nowodworskiego i Birkowskiego, zamarła,

zastąpiły ją inne. Pod Beresteczkiem śpiewano na cześć Matki Bożej dzisiaj jeszcze znaną pieśń: *O Gospodze uwielbiona.*¹⁾ Brzmiały i inne pienia pobożne oraz proste, to wesołe to smętne, piosnki żołnierskie, jak owa starodawna o żołnierzu tułaczu, którą Mickiewicz z dzieciństwa zapamiętał i w *Panu Tadeuszu* uwiecznił.

Są jednak ślady, że znano w dawnej Polsce także i pieśni treści historycznej, które były rzeczywiście przez rycerstwo śpiewane a między ludem powtarzane. Sławni wojownicy, głośnie zwycięstwa, zdarzenia nadzwyczajne: oto tych śpiewów wątek i osnowa. Przechodziły one z ust do ust i roznoszone były po odległych stronach naszej ojczyzny przez wędrownych lirników i żaków szkolnych. W wieku XVII wyśpiewywał ulubiony rybałt szlachecki, Marcin Zięba, posiadający piękny głos i znajomość gry na kilku instrumentach, po Podgórzu pieśń o bitwie grunwaldzkiej i o wzięciu Gdańska. Inne przechowali kronikarze a wiele było takich, które tłoczono na kartkach jako ulotne pisemka; te stały się z czasem rzadkością niesłychaną i ledwo bibliografom są wiadome.

Jak pospolitem było w dawnej Polsce śpiewanie pieśni historycznych, świadczy przedrukowany świeżo w r. 1906 przez Glogera: „Nieznany śpiewnik historyczny polski z końca XVI wieku.“ Wydano go z jedyne go istniejącego egzemplarza, z wydartą kartą tytułową. Zdaje się, że jest to to samo dziełko, które wymienił Juszyński jako: „Katalog książąt i królów polskich“, dotąd daremnie poszukiwane, którego wiersze przeznaczone były do śpiewu podług melodyi wymienionych dwóch, znanych w Polsce pieśni:

Do najwięcej znanych należą Łukasza Górnickiego długa pieśń o porażce Krzyżaków pod Grunwaldem, po raz pierwszy wydana przez Ryszczewskiego; o Gabryelu Hołubku, co poległ pod Byczyną, przez ks. Stanisława Grochowskiego, kustosza kolegiaty kruświckiej, mieszkańca niegdyś wioski Piecków pod Kruświcą, a szczególnie nieznanego autora o szczęśliwym wojowniku, Stefanie Chmieleckim.

Pisali o tym rodzaju literatury obszernie Wojcicki, Maciejowski i Windakiewicz.²⁾ Wyliczają oni cały poczet rozmaitych pieśni historycznych polskich aż po koniec XVII wieku. Uzupełnił go Brückner w jednej ze swoich recenzyj.

Jako ostatnią, zamykającą szereg pieśni historycznych w wieku XVII, wymienia Wojcicki:

¹⁾ Grabowski, *Starożytności historyczne*, Kraków 1840, I 274.

²⁾ Wojcicki: *Obrazy starodawne*, tom I, Warszawa 1843, w rozprawie: *Pieśni historyczne*; Maciejowski: *Piśmiennictwo polskie*, tom II, Warszawa 1852; Windakiewicz: *Pieśni i dumy rycerskie XVI wieku w Pamiętniku literackim lwowskim* z r. 1904.

Pieśń o szczęśliwym zwycięstwie w dzień świętego Marcina pod Chocimem, roku Pańskiego 1673 otrzymanym.

Nóta, jako o książęciu Koreckim.

(in 4^o kart 2, druk łaciński¹⁾)

Przytacza z niej cztery całe strofy i piątą prawie całą. Nóta pieśni o ks. Samuelu Koreckim, sławnym wojowniku, zamordowanym w niewoli tureckiej 1622 r. widocznie bardzo w Polsce była popularna, skoro Wojcicki pięć innych przytacza pieśni na nią śpiewanych i szóstą o zwycięstwie chocimskim drugim.

Szczęśliwy wypadek chciał, że odpis pieśni o zwycięstwie chocimskim znalazł się na okładce dzieła Długosza: *Historia polonica* (Dobromili 1615), w bibliotece seminaryum duchownego w Gnieźnie.²⁾ Ponieważ tekst pieśni, o ile wiadomo, w całości nie był nigdy wydrukowany, przeto go dla pamiątki i ocalenia z odpisu gnieźnieńskiego niżej podajemy. Atrament wyblakły nie pozwolił gdziekolwiek na odczytanie wyrazów, które w druku zastąpione są tutaj kropkami.

O zwycięstwie chocimskim posiadamy szczegóły w *Ojczystych Spominkach* Ambrożego Grabowskiego (tom I Kraków 1845) i w kilku relacjach, umieszczonych przez Kulczyckiego w jego *Pismach do wieku i spraw Jana Sobieskiego* (tom I cz. 2, Kraków 1881). Stamtąd, jako też i z Niesieckiego i Kotłubaja, zaczerpnięte są objaśnienia do nazwisk wojowników, w *Pieśni* wymienionych.

Pieśń historyczna nie zamilkła z drugą wiktoryą chocimską. W jednym z ostatnich roczników kwartalnika *Lud* podana była pieśń starodawna o Kamieńcu Podolskim. Wiek XVIII znał śpiewy o Wołodkowiczu, rozstrzelanym za gwałt w trybunale mińskim, o konfederacie Gogolewskim³⁾ o Pułaskim i o Sawie, a szczególnie o okrutniku Drewiczu (v. Drewitz), Niemcu w służbie moskiewskiej, który Karol Sienkiewicz pomieścił w swoim *Skarbcu*. Seweryna Duchyńska, zmarła w r. 1905, pamiętała jeszcze swego dziada, Seweryna Rawicza Trzczińskiego. Ten dawny konfederat barski, z pod Żychlina na Sybir pieszo popędzony, zwykł był wnukom dumkę o Drewiczu śpiewać.

Nieśmiertelna pieśń legionów Józefa Wybickiego, zmarłego w Manieczkach pod Śremem a nie uczzonego dotąd należytych pomnikiem, również do pieśni historycznych zaliczoną być winna. Znane *Śpiewy historyczne* Niemcewicza, ogłoszone z muzyką do każdego

¹⁾ Bez miejsca i roku druku. Estreicher: *Bibliografia polska*. XIV (Kraków 1896) 175, podaje ten sam tytuł według egzemplarza Biblioteki Ossolińskich.

²⁾ Kodeks ma obecnie sygnaturę O. 207. Brak tytułowej karty druku. Na str. 1 (po 16 kartach nieliczbowanych) zapiska: *Ex libris Congregationis Missionis domus Gnesnensis post fata R. D. Kobierzyci, canonici cath. Gnesnensis († 1741)*.

³⁾ *Pamiętniki Kwestarza Chodźki i Przyjaciół ludu leszczyński* z r. 1846.

śpiewu, układu wielkopolanina Kurpińskiego, rodem z Włoszakowie pod Leszmem, Lessla, oraz innych kompozytorów i kompozytorek, między niemi księżny Wirtemberskiej, autorki *Malwiny*, i Maryi z Wołowskich Szymanowskiej, późniejszej teściowej Mickiewicza, chybiły celu. Muzyka ta nie przyjęła się a z całego zbioru Niemcewicza tylko niektóre pieśni upowszechniły się w deklamacyi, żaden w śpiewie.

Z epoki 1831 r. przeszło w usta narodu drogą śpiewu, prócz piosnek żołnierskich, kilka wspomnień z *Pieśni Janusza*, z czasów spisków śpiew o Bartoszu Głowackim Gustawa Ehrenberga i chorał Ujejskiego. Smutny rok 1863 pieśni historycznej śpiewanej po sobie nie pozostawił żadnej.

Daremne bywały nasze najświetniejsze zwycięstwa. Krew pod Chocimem i Wiedniem wytoczona nawet nie wyzwoliła z jarzma tureckiego Podola z Kamieńcem, o którego wyswobodzenie Młodzianowski z ambony tak często Boga prosił: *salvum fac Camenecum tuum, Domine!* Przelaną przez Sobieskiego „krwią bisurmańską zapłacili nam Turcy stracony Kamieniec Podolski, *gwiazdę kochaną ... pannę*, jak w oku każdego źrenicę miłą,“ jak się wyraża Poczobut w swoim pamiętniku, ale była to tylko korzyść chwilowa, bez dalszych zmian. Z minaretu, przystawionego przez Turków do katedry kamienieckiej, wzywał muezin po dawnemu muzułmanów do modłów, i długich lat było potrzeba, zanim nad Smotryczem na półksiężycu stanęła stopa Przczystej Panny.

W Gnieźnie, 29 listopada 1905.

B. J. K.

Pieśń

o chocimskiej otrzymanej wiktoryi w dzień św. Marcina roku Pańskiego 1673.

Tekst podał ks. T. Trzeciński.

Słuchajcie żywo, jako Bóg łaskawy
Do wielkiej tych lat przywiódł Polskę sławy,
Za co mu chwałę daj i słodkie pienie
Wszystko stworzenie.

Bo do ostatka niechcąc nas przeminać
Skarał, jak ojciec, a potem poginać
Kazał poganom. Już źli Tatarowie
Wzięli po głowie.

A lub¹⁾ i Turczyn, co się go świat boi,
 Wziąwszy Kamieniec pod Chocimem stoi,
 Dawnych okopów naszych poprawując
 Obóz szykując,

Przecie na niego cni Polacy poszli
 Przez zbyt okropne Bukowe zarośli,²⁾
 Kędy sarmacka za króla Olbrachta
 Ginęła szlachta.

Hetman Sobieski wszystko opatrzywszy,
 Srogie przeprawy ostrożnie przebywszy,
 Gdy już wszedł w pole, potka go nowina
 Od Wołoszyna:

Że Kaplan Basza w trzydziestu tysięcy
 Jazdy tureckiej, a bodaj nie więcej,
 Ciągnie na pomoc, aby szaińców bronił
 A naszych gromił.

Tedy z hetmanem waleczni wodzowie
 Wnet uradzili — prawie w jednym słowie —
 Wprzód poganina szturmem brać bliskiego,
 Potem dalszego.

Husseim Basza ze trzema innymi
 Także Baszami wielce walecznymi
 Wojsk swych trzydzieści tysięcy liczyli,
 I nie zmylili.

Gdyż im Jańczarów dał dziesięć tysięcy
 Wezyr odchodząc, żołąd na ośm miesięcy,
 Między nimi zaś każdy był wyborny,
 Mocny i sforny.

Tam kazał, aby szaińców wartowali,
 Wszelkie potęgi mężnie odpierali,
 Żeby tureckiej nic nie zeszło sławie
 Na dobrej sprawie.

Obóz ich przyrwy skaliste zmacniały,
 Wały troiste działami stwierdzały;
 Tudzież był zamek na skale wysoki,
 I Dniestr głęboki.

¹⁾ *Lub*, dawna forma zamiast: lubo.

²⁾ Wojsko polskie szło na Sniatyn, litewskie na Horodenkę; pod Żuczka przeszło granicę Bukowiny, aby z tyłu zająć nieprzyjacielowi.

Lecz gdy rycerstwo westchnęło do Boga,
 Wszelka z ich serca precz odeszła trwoga:
 Znieśli dla wiary, dla ojczyzny miłej
 Pogańskie siły.

Trzy dni nie jadły i konie i ludzie,
 Przez trzy niedziele nie spoczęli w budzie,
 W szyku dwadzieścia i siedm godzin stali,
 Turków czekali.

Lecz oni z szanćów gdy nie wychodzili,
 A tylko harców po trosze zwodzili,
 Dali im wśród dnia szturm Polacy i Litwa,
 Aż oto bitwa.

Biją z dział srodze, z strzelby Jańczarowie,
 Zbrojni na naszych z bram lecą Turkowie,
 To jednak najmniej rycerskiej ochoty
 Nie zbiło z noty.

Wielcy hetmani¹⁾ z gołemi szablami
 Pieszko do szturm szli przed żołdatami,
 Pod same wały ważąc żywot wzięty
 Za Kościół święty.

Wtem gdy piechota z officyerami
 Wał wzięwszy Turków siekli berdyszami,
 Jazda wypadła i mocno się biła,
 Naszych gromiła.

Lecz usarya jak skoro natarła,
 Wzad ich do szanćów kopijami wparła,
 A tam dopieroż mocniej się bronili,
 Gdy nasi bili.

W pośród obozu widząc nie igrzysko,
 Tak się bił Turczyn, że już byli blisko
 Nasi przegranej, bo ich przechodziła
 Pogańska siła.

Lecz Pac²⁾ z Sobieskim waleczni hetmani,
 Widząc, że biorą górę bisurmani,

¹⁾ Hetman w. kor. Sobieski, i polny kor. Dymitr ks. Wiśniowiecki. Sobieski, z „gołą szablą pieszko przed swoją partyą idąc, krzychał: aby dla miłości Bożej, dla wiary i kościołów, dla ojczyzny miłej, w Bogu mając nadzieję, odważnie postępowali; dopiero na strzelenie z pistoletu od wału wsiadł na konia.“

²⁾ Michał Pac, hetman w. lit. mężnie się bił, idąc o lepszą z Sobieskim.

Jak znowu zwiedli mężnie usaryą,
Dopieroż biją.

Turcy postrzegłszy, że całe stracona
Bitwa już być nie może wrócona,
Pierzechnęli chyżo w bramę ku mostowi
I Kamieńcowi.

Tam ich litewskie chorągwie nastaly,
Głowy w zawojach od szabel padały,
Tamże Radziwiłł¹⁾ wziął Baszę jednego
Przodującego.

Wiśniowiecki zaś hetman z drugiej strony
Siekł ich bez wszelkiej dla życia ochrony,
Mszcząc pilnie w te dni śmierci dziada²⁾ swego,
Męża wielkiego.

Jednych w głębokie przykopy nagnano,
Potem stąd drogą do Kamieńca ślano,
Że ci pływając aż do dna tonęli
A Dniestr pełnili.

Jańczarów legło ośm tysięcy trupem
W samym obozie, gdzie się nasi łupem
Arcybogatym wielce z bogacili,
Boga chwalili.

Nabrali złota, srebra i pieniędzy,
Niejeden temi podźwignął się z nędzy;
Drogie rynsztunki nosili worami
I z talerami.

Koni, wielbłądów, namiotów rozlicznych,
Sukien, kobiercy od złota przepysznych,
Armata wzięta, żywności moc wielka,
Wygoda wszelka.

Gdy się skończyła potrzeba tak sroga,
Upadli wszyscy z dziękami do Boga;³⁾
Przy mszy w namiocie *Te Deum* szło nasze
Na Husseim baszę.

¹⁾ Michał Kazimierz ks. Radziwiłł, hetman polny lit. szwagier Sobieskiego. „Sam w głowę raniony baszę tureckiego z pistoletu zabił i samego seraskiera buzdyanem o ziemię powalił.“

²⁾ Mowa tu nie o rodzonym dziadzie ale o naddziadzie, Dymitrze ks. Wiśniowieckim, który w wieku XVI zginął u Turków na haku w Jedykule. Znany jest śliczny o nim wiersz Siemieńskiego.

³⁾ „Po bitwie w namiotach Husseima baszy msza św. około wtorej z południa przy jegoż świecach, *reconciliato loco*, była; wdzięczne *Te Deum laudamus* Bogu Zwycięzcy.“

Natychmiast naszych pobitych szukano,
Po krześciańsku ciała pochowano,
Których na siedmset zginęło w potrzebie,
Są za to w niebie.

Łowczy Żeleński¹⁾ tam jest rozsiekany,
Strażnik Bidziński kulą postrzelany,²⁾
Między trupami trzy dni w polu leżał,
Zdrowia dodzierzał.

Tamże też poległ Achacy Pisarski,³⁾
Wódz krakowskiego pułku dobry, darski.
Legł i Lipnicki z Litwy, rycerz stary,
Bijał Bojary.⁴⁾

Wiele panowie wiele się znać dali,
Sami chorągwiom wszystkim przodkowali,
Zwłaszcza Potoccy w Sieradzu, w Kijowie,⁵⁾
Mężni wodzowie.

Tam się godnie
.
Przy nim Sieniawski, chorąży koronny,⁶⁾
Stawał obronny.

Tam pisarz polny Czarnecki,⁷⁾ wódz prawy,
A z nim Chodkiewicz⁸⁾ okazali sławy
Swych przodków; także dzielni Sapiehowie⁹⁾
I Dynhofowie.¹⁰⁾

¹⁾ Jan Żeleński, łowczy kor.

²⁾ Stefan Bidziński, sławny wojownik, strażnik kor. „Do szturm idąc, na wał tu-recki, ze skały wyrobiony, mężnie wskoczył. i wprawdzie nie mogąc się utrzymać na nim, szwankował, aż na sam dół lecąc, dziwną jednak opatrnością Boską dalszym dla ojczyzny dziełom w całe zachowany.“

³⁾ Achacy Pisarski, starosta wobromski; on to po nieszczęsnej bitwie nad Mątłami porwał się do szabli z kasztelanem poznańskim.

⁴⁾ Zapewne Stanisław Lipnicki, pułkownik w wojsku litewskim, weteran z wojen przeciw Szwedom i Moskwie

⁵⁾ Feliks Potocki, wojewoda sieradzki, miał pod Chocimem pułk dragonów, a Jędrzej Potocki, wojewoda kijowski, co później był hetmanem p. k. miał regiment pieszy i dowodził w partyi środkowej, między Sobieskim i Wiśniowieckim a Pacem.

⁶⁾ Mikołaj Hieronim Sieniawski, wówczas chorąży kor., „pod Chocim ordynowany, większą część tamtego zwycięstwa wziął na siebie, mężnie stawając.“

⁷⁾ Stefan Stanisław Czarnecki, pisarz koronny, syn Marcina, jednego z dziewięciu braci hetmana Stefana, sławny także wojownik; w tym samym roku 1673 marszałkował Izbie poselskiej a pod Chocimem pieszo szedł do szturm.

⁸⁾ Jerzy Karol Chodkiewicz, „mąż rycerski, odwagą wsławiony,“ oboźny kor.

⁹⁾ Franciszek Sapieha, koniuszy lit. pod Chocimem był w szyję postrzelony.

¹⁰⁾ Władysław Denhof, podkomorzy pomorski, zginął pod Wiedniem jako wojewoda pomorski; Ernest Denhof, jenerał artylerji, miał regiment pieszy pod Chocimem, „od młodości do dzieł rycerskich przyuczony. skąd potem w wielkiego urósł wojownika.“ Z rodziną Den-

Tam Lubomirscy ¹⁾ i Pacowie męstwa
 Jako dowiedli, sprawując zwycięstwa;
 Jako tureckie z dział bił Kącki ²⁾ szyki, —
 Będą kroniki.

Wielki Sobieski! marszałku, hetmanie!
 Niech ci pamiętna sława w tryumf stanie,
 Niech ci Bóg szczęści, żeś był tak waleczny,
 W męstwie stateczny.

Lud pospolity z serca się raduje,
 A tobie z tego zwycięstwa winszuje
 Największych pociech w niebieskim żywocie,
 Po tym kłopotcie.

Więc my najwyższą chwałę Bogu dajmy,
 A z nabożeństwem do nieba wołajmy,
 Aby na Turki takąż padła strata
 Przyszłego lata.

Niech w rękach polskich najdzie miecze mściwe
 Za swoją hardość i zdrady złośliwe!
 Niechaj mu Imię Chrystusowe oczy
 Strachem zamroczy!

Aby w okrutnej zaginał cheiwości
 Za to, iż w swojej przeciw nam zazdrości
 Nasze królestwo wespół z kościołami
 Niszczy wojnami.

hofów Sobieski w wielkiej żył przyjaźni a z jednym z nich, wojewodźcem sieradzkim, kolegował za młodu w Krakowie.

¹⁾ Hieronim Augustyn Lubomirski, kawaler maltański, miał pod Chocimem regiment dragonów.

²⁾ Marcin Kącki, generał artylerji, miał regiment pieszy, przy szturmie dowodził artylerją; odbierał w r. 1699 Kamieniec z rąk Turków.

Źródła społeczne wymieniają jeszcze kilku innych z rycerstwa polskiego znakomitych poległych, których nazwiska mieściły się może w ustępach, opuszczonych z powodu nieczytelności rękopisu. Zginęli zatem jeszcze: pułkownik Motowidło, który miał pułk piechoty węgierskiej; Jędrzej Roźniatowski, który „mężnie walcząc, zwycięstwo to śmiercią zapieczętował, rotmistrz godny;“ Jan Rzeczycki, rotmistrz także, „immortali dignissimus vita dla swojej wielkiej dobroci, męstwa i niewczasu; odebrawszy baterję z działami, z tychże dział na nieprzyjaciela uciekającego strzelał. a wtem z tyłu kilkanaście tysięcy nieprzyjaciela naparłszy (ich), że ledwie im do koni przyszło, na których z wysokiej skały strąceni; pan Rzeczycki szyję złamał, pan strażnik kor. (Bidziński) potłuczony.“ Rzeczycki, który był z choragwią kozacką pod Chocimem, nie był katolikiem. Ks. Przyborowski, jezuita, kapelan Sobieskiego, miewał z nim o wierze częste rozprawy i mówił mu żartując: „Wmć nie zostaniesz katolikiem aż się z tobą stanie, co z bratem św. Bernarda, któremu Święty mówił, że dopiero, braciszku, mnichem zostaniesz, kiedyc żelazo nieprzyjacielskie, bok otworzywszy, drogę Duchowi św. uczyni.“ Prosił ów kapłan Rzeczyckiego, aby przed bitwą jeżeli nie jawnie, to przynajmniej chęcią został katolikiem, bo później czasu zabraknie. Na to Rzeczycki: „katolikiem nie będę i zdrowo wyjadę“
 Stało się inaczej niż myślał. B. K.

A my, pokoju wzięwszy dar świętego,
Chwalić będziemy w Tobie prawdziwego
W Trójcy jedyne Boga wszechmocnego,
Nieskończonego. Amen.

Z przeszłości Japonii.

Przed kilku jeszcze miesiącami uwaga całego świata cywilizowanego zwróconą była na daleki wschód — na Japonią, o którą przed wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej mało kto się troszczył, a o której przed wojną chińsko-japońską przeciętny Europejczyk mało co więcej wiedział nad to, że sprowadza się stamtąd jedwab, cienkie papiery, naczynia drewniane pociągnięte nieźrównanym lakierem i wachlarze z pociesznymi figurkami.

Dopiero ostatnia wojna rosyjsko-japońska otworzyła Europejczykom oczy i pouczyła ich, że ci trochę śmiesznie wyglądający Japończycy — to naród z wysoką cywilizacją, naród szlachetny, pełen miłości ojczyzny i poświęcenia, a prócz tego naród, który obok swej rodzimej przyswoił sobie wszystkie zdobycze kultury europejskiej. Dla nas mają oni jeszcze i to znaczenie, że przez klęskę zadaną caratowi przyczynili się do rozbudzenia ruchu wolnościowego w Rosyi, który i nam jaśniejszą zapowiada przyszłość.

Sądzę więc, że czytelników zajmie może szczególnie pewien z dziejów Japonii, który tu w krótkich skreślę słowach.

Jak wiadomo, pierwszą — mglistą jeszcze — wiadomość o Japonii przyniósł Europie wenecki podróżnik Marco Polo, bawiący w końcu XIII wieku na dworze chana mongolskiego Chublaja, który wykonał kilka najazdów na Japonią. Bliższych wiadomości dostarczyli Portugalczycy, którzy pod wodzą Ferdynanda Mendeza Pinto zapędzeni zostali burzą na wybrzeże japońskie w r. 1542. Wskutek ich relacji wybrał się do Japonii w celach misyjnych św. Franciszek Ksawery w r. 1548 i rzucił tamże pierwsze ziarna religii chrześcijańskiej, którą rozkrzewili później misyami swemi Jezuici, mianowicie w południowej części monarchii.

Japonia rządzona była wówczas nominalnie przez cesarza — Mikadę — a w rzeczy samej przez majordomów czy „piastów“, szogunami zwanych. Wewnątrz kraju jednakże w oddzielnych prowincjach mieli samodzielną prawie władzę dynastowie — książęta czy królikowie. Tak oni się sami nazywali, jak to później zobaczymy.

Otóż niektórzy z tych książąt — królików, nawróceni na religią chrześcijańską, wysłali w r. 1582 poselstwo do Europy na dwór madrycki i do Rzymu z obedyencyą dla papieża. Poselstwo to przybyło do Rzymu w r. 1585 i przyjmowane było 23 marca tegoż roku na uroczystej audyencyi przez ówczesnego papieża Grzegorza XIII.

Opis tej audyencyi daje nam książeczka znajdująca się w bibliotece Kórnickiej a mająca tytuł:

Japoniorum regum legatio, Romae coram summo pontifice Gregorio XIII 23 Martii habita anno 1585. Addita etiam est brevis in calce descriptio Insulae Japonicae.

Romae, apud Franciscum Zannetum, et Bononiae, apud Alexandrum Benatium, et Cracoviae, in officina Lazari. Anno Domini 1585.

W środku tytułu drzeworyt przedstawiający herb papieski.

Jestto książeczka o 8 kartach in 4to, bez paginacyi, z sygnaturami A—B. Tekst, jak tytuł, łaciński.

Ze wstępu dowiadujemy się, że poselstwo sprawowało dwóch znakomitych Japończyków — Mancius i Michał, a towarzyszyło im dwóch ze szlachty japońskiej — Marcin i Julian, który jednakże dla choroby nie mógł być na audyencyi.

Posłowie przedłożyli najprzód list Franciszka, króla Bungi, z dnia 11 stycznia r. 1582, napisany po japońsku, z języka japońskiego przełożony na włoski a z tegoż na łaciński. W liście tym, który podpisał Franciscus, Bungi rex, — wspomina tenże najprzód, jako przed 34 laty, a zatem około roku 1548, przybyli do Japonii Jezuiti i rzucili tamże pierwszy posiew wiary chrześcijańskiej, z której za łaską Bożą cokolwiek i pierś jego zaczerpnęła — „nonnihil in meum quoque Dei benignitate cecidit pectus.“ Zamierzał on sam wybrać się do Rzymu z obedyencyą, aby „ucalować pobożnie stopy papieskie, postawić je na głowę swoją i prosić papieża o położenie znaku krzyża na piersi jego.“ Ale gdy wojny, starość i choroba nie dozwalały mu wykonać tego zamiaru, chciał w miejsce swoje wysłać synowca swego Hieronima — „sororis meae filium d. Hieronymum, regis Fiungae filium“, lecz że tenże chwilowo w dalekich jest stronach a wizytator Jezuitów, wracający do Europy, dłużej podróży swej wstrzymać nie może, wysłał Manciusa, ciotecznego brata Hieronima.

W drugim liście, datowanym 8 stycznia 1582 r., pisze król Protazy — Arimanorum rex —, jako przed 2 laty wśród zawieruchy wojennej i wielkich zaburzeń przyjął chrzest św. za pośrednictwem wizytatora i innych kaznodzieji z zakonu Jezuitów, — jako pragnął

sam przybyć do Rzymu, lecz nie mogąc tego uczynić, przysyła z wyrazami hołdu bratanka swego Michała.

Trzeci wreszcie list z d. 27 stycznia 1582 pochodził od Bartłomieja, księcia Omury, który się również tłumaczy, iż sam przybyć nie może i przesyła oświadczenie obedyencyi przez wspomnianego wyżej Michała, bratanka swego.

Po odczytaniu powyższych listów jezuita Kasper Gonsalvo Łuzytańczyk miał stósowną do okoliczności przemowę, z której ten charakterystyczny przytaczamy ustęp: „Są one wyspy Japońskie liczne i nadzwyczaj rozległe, pełne miast, a mieszkańcy ich odznaczają się talentami i sztuką rycerską — ingeniis et militaribus studiis — w tym stopniu, że ci, co je widzieli, uważają je za przewyższające inne kraje tamtejsze a z naszymi równać się mogące.“

Po Gonsalwie zabrał głos Antoni Buccapadulio, aby w imieniu papieża wyrazić radość z przybycia posłów i z postępów wiary chrześcijańskiej w ich ojczyźnie — jako też życzenia, aby za ich przykładem poszła reszta królów i książąt japońskich.

Po skończeniu powyższej ceremonii i odprowadzeniu papieża do jego komnat, zaprosił posłów na ucztę bratanków papieski kardynał św. Syksta, poczem udali się na prywatne pokoje papieskie, gdzie papież za pomocą tłumaczy rozprawił z nimi długo o ich podróży, jako też o sprawach religijnych. Stamtąd udali się do bazyliki św. Piotra, skąd pod wieczór z honorami przynależnymi do ich gospód odprowadzeni zostali. Do Japonii powrócili dopiero około r. 1590.

Nie ziściły się jednakże życzenia, które wyraził mówca papieski co do nawrócenia całej Japonii. Od roku 1614 nastąpiła reakcyja i prześladowanie a w roku 1638 wyszedł edykt zakazujący pod karą śmierci wyznawania religii chrześcijańskiej. Dopiero w nowszych czasach chrześcijaństwo znowu tamże krzewić się poczyna, zwłaszcza od r. 1873, w którym zniesiono edykt z r. 1638.

Wspomniany na tytule naszej książeczki krótki opis Japonii wyjęty jest z dzieła jeografa Abrahama Orteliusza. Tenże oddaje również wielkie Japończykom pochwały, mówiąc że są: „religioni, litteris et sapientiae addictissimi et veritatis indagatores acerrimi.“

Widzimy więc, jak błędzili ci, którzy Japończyków lekceważyli, co się tak strasznie na Rosyi zemściło. Jeżeli jednakże, jak wyżej zaznaczyliśmy, klęska ta rosyjska przyniesie wschodowi Europy wolność i swobodę, będzie można i tu zawołać:

dziwne są zrządzienia i wyroki Opatrzności!

Kórnik, 22 listopada 1905.

Dr. Zygmunt Celichowski.

POLONEZ.

Jakaż miłsza nad tan teza,
Której bronić masz wytrwale?
Uczty, uczty, bale, bale...
Hej zatańczmy poloneza!

Kiedy człek do pary stanie
I w tan sunie się z kopyta,
Już mu błogo, nie nie pyta,
Wszystko puszcza w rozłupanie.

Jak helleńska woda Lety,
Zapominać wszelkie bóle
Nam dopomagają króle,
Damy, tuzy i walety.

Za Sasa czy za Łokietka,
Rzucalo się w kąć morały,
Ale zawsze smakowały
Tan, szklanica i kobietka.

Czy w Paryżu, w Spa, czy w Wólce.
Tu czy tam gdzieś w Dahomeju, —
Jest uciecha, mociumdzieju
W tanach, grze i przy damulce.

Dziad nasz był gracz zawołany:
Pijał, modlił się z różańca,
Machał szablą, wodził tańca...
Hej wnukowie, dalej w tany!

Życie zawsze jest to samo,
Dziś czy w epoce Homera:
Kiedy człek się naobzera,
Jest konieczna sjesta z damą.

Byt po zgonie ma wartości
Tyle, co złamana orta.
Używajmy więc do czorta,
Póki zdrowiśmy i prości!

Gdyś młody, życiem się naciesz!
 Kochaj, póki żądze ryczą.
 Będiesz wzdychał moralniczo,
 Gdy się skrzywi grzbietu pacierz.

Póki damom służy krasa,
 Chwytajmy je za kibicie!
 W tany, w tany! Tan to życie!
 Hej polonez hasa, hasa!

Zrodziły nas Chamy, Semy,
 Po to, byśmy żyli, żyli...
 Więc panowie, szkoda chwili.
 Żyjmy dziś — jutro pomrzemy.

Jan Lemański.



Rozmyślania lubownika starego wina.

Wino, albo do głowy idzie, lub płacze nogi. Duma rodowa i głowy zamąca i niepewne nogi po fałszywych ścieżkach wodzi.

Wielkość rodowa jest jak pleśń na butelce starego wina. Wino starsze od pleśni, a każdy naprzód pleśń podziwia.

Pijący wypiszy wino butelkę wraz z pleśnią odrzuci, badacz poznawszy dzieje tych, których wielkością dumni są prawnuki, lekceważyć ich dumę będzie.

Jak często omszała butelka kwas w sobie zawiera! Wino musiało być mętne za młodu, albo butelka nieczysta; jej pleśń przecież równa pleśni na butelce dobrego wina.

Pyszniła się butelka starego wina swoją pleśnią. Wypił ją proletaryusz, zbogacony od wczora, a spracowaną dłoń zbrukał jej pleśnią.

Wino póki fermentuje — żyje; wówczas nie ceni je amator. Gdy przerobi się, przefermentuje, ustali — zamiera; wówczas dopiero nabiera ceny. W społeczeństwie powinno dziać się na odwrót: cenionem być powinno tylko to, co świeżą siłą fermentuje, działa i wy-

rabia się. Czemuż dzieje się przeciwnie; i martwe stare rody szanują ludzie dlatego, że kiedyś fermentowały.

Stare wino dla chorych lekarstwem bywa. Zdrowe społeczeństwa nie używają w pracach organicznych starych rodów jako odrębnego czynnika.

Parostwo angielskie podobnem jest do dobrze zasilanej piwnicy; niejeden zieleniaczek staje się jej ozdobą.

Niektóre stare wina mają tę właściwość, że razowym chlebem trąca; niektóre stare rody pamiętają, że z razowego chleba ich początek.

Są amatorzy, ceniący szczawik we winie, inni wymagający aby myszką trąciło. Są w społeczeństwie ludzie, znoszący chętnie szczaw pańskich kwasów, są i ceniący myszkę ich przesądów.

Kto starem winem pragnienie chce ugasić, upije się: kto przez arystokrację społeczeństwo odrodzić pragnie, sprawia mu obłąd, po którym następuje prostracya.

Gdy sztuka mięsa posilną była, na deser kieliszek starego wina nie zawadzi; ale drugi łatwo spożyty pokarm na żołądku w kamień obrócić może.

Im szumniejsza etykieta, z tem większą podejrzliwością zabieraj się do butelki.

Stare wina spoczywały niegdyś po piwnicach wielkich panów, zanim je po zbankrutowanych zakupili handlarze. Dziś tak stare wina jak stare rody przedmiotem handlu — i frymarki.

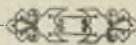
Lubownicy tylko cenią stare wina; czemuż stare winy cenią u nas dotąd wszyscy.

Józef Kościelski.

Dziennikarz, walczący na wysuniętym posterunku politycznym, pamiętać powinien o słowach Frycza Modrzewskiego: „Złym się nie-podobać, jest coś nakształt chwały.“

Wiedeń, w listopadzie 1905.

Adolf Władysław Inlender



FALA ŻYCIA.

Hej, falo ty moja —
 raz słońcem złocona,
 snop iskier kąpiąca na barwnem swem łonie —
 raz cieniem mroczona,
 gdy nocne potęgi wzburzyły wód tonie —
 Hej, falo ty moja!

Hej, falo ty moja —
 ty jasna, przezrocza,
 co perły mi niosłaś i jasne korale
 z rusalek warkocza,
 i sny kołysałaś o blasku i chwale —
 Hej, falo ty moja! —

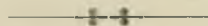
Hej, falo ty moja —
 coś łzami spłynęła,
 gdy smutek w łódź wstąpił i parł ją w bezdroża,
 coś rwała się, gięła,
 gdy w otchłań ciągnęła cię losów obroża —
 Hej, falo ty moja!

Hej, falo ty moja —
 coś szczęścia pieśń grała
 na strunach uwitych przez smugi tęczowe,
 weselem coś gnała
 przez łąki majone, przez gaje godowe —
 Hej, falo ty moja!

Hej, falo ty moja —
 Krwi mojej strumieniu,
 co drżysz mą tęsknotą i płoniesz mem tchnieniem —
 mej duszy promieniu,
 co jesteś mi zgubą i mojem zbawieniem —
 Hej, falo ty moja!

Hej, falo ty moja —
 pływ wartko w toń morza,
 nie strzymuj się w biegu, czy zamęt ci grozi, —
 czy świeci ci zorza —
 i tak nas wieczysta noc wchłonie, noc zmrozi —
 — Płyń, falo ty moja!...

Acer.



Z ręki Aniołów.

(Legenda).

Był wśród aniołów jeden, który w najwyższym stopniu posiadał miłość swego Stwórcy, najukochańszem był dziecięciem jego ducha i najwięcej otrzymał od Niego pierwiastków boskości.

Lecz to właśnie, że anioł ten miał w sobie za dużo iskry panowania nad światem, stało się przyczyną jego zguby: bo sięgnął po owoc z drzewa zakazanego.

Lecz grom padł w dłoń zbuntowaną i nieposłuszny Anioł w prochu i kurzu legł u stóp Wszechpotężnego.

I rzekł Pan w gniewie: na wieki potępię niepokorny ten kark! — a wyciągnąwszy prawicę stracił winnego z krawędzi niebios w przepaść niezmierną, u której kresu otchłanie piekieł się rozstępowały.

Lecz w tejże chwili wszyscy aniołowie, przypadłszy do stóp Stwórcy, błagali o litość dla upadłego brata.

I rzekł Pan:

„Niech błaga, niech się upokorzy — zanim do dna piekieł spadnie — a zbawię go.“

Spoglądali wszyscy pilnie w twarz spadającego w przepaść anioła, oczekując na zbawcze słowa prośby i ukorzenia się.

Lecz upadły anioł milczał i spadał coraz głębiej...

„Niech na wieki wyrzeczcie się wyciągania dłoni po owoc z drzewa — Twórczości — a zbawię go!“

Lecz i na to anioł upadły milczał.

Usta jego zacięły się, jakby nigdy dźwięk słów z poza ich obrębu nie był wyszedł: i tylko wzrok miał utkwiony w oczach Stwórcy.

A w miarę tego, im głębiej spadał, spojrzenie jego stawało się coraz wymowniejsze, coraz straszniejsze.

A co ten wzrok mówił — to samego Stwórcy tajemnica. Żaden anioł nie wie, jak rozmawiał brat ich upadły z Panem.

Ale od grozy spojrzenia tego zbladło oblicze Stwórcy — i wszechpotężny, odwracając twarz, dał ręką znak, że zbuntowany anioł niema już spadać głębiej.

I pozostał więc strącony, gdzie go skinienie zatrzymało: pomiędzy niebem, a piekłem.

A wślad za nim zagrzmiął głos Stwórcy: „Niechaj ród twój cały nosi na wieki piętno twego grzechu!“

I stało się tak.

Po dziś dzień anioł upadły spogląda w niebo a czuje piekło rozwarłe pod stopami. Poczucie nieskończoności myśl mu zapładnia a technienie znikomości, geniusz śmierci wyciska swe piętno na jego czynach, wszystko, czego się tknie, nosi znamię grzechu.

Dąży do wszechwiedzy — a zdobywa zawsze tylko ułamki i okruchy. Łaknie poczucia całości, syntezy — a ogarnąć może tylko cząstkę. Iskrę boskiego pochodzenia nosi w sereu, a piekło jest za małe, aby pomieścić ogrom jego grzechów. Wiecznie dąży do ideału — a ideał wiecznie go wyprzedza. Z każdego jego dążenia, z każdej myśli wyrastają już w chwili, gdy się ona rodzi — jej grabarze.

Zwierzęta uginają się pod siłą jego wzroku, a ślepy traf powalić go jest zdolny. Bieg gwiazd oblicza i góry przenosi a niewolnikiem jest własnego ciała.

Z najpiękniejszego kwiatu ducha, z najcudniejszej zdobyczy myśli wycisnąć jest zdolny: kroplę trucizny. Szatanem i aniołem jest w jednej postaci.

A imię jego jest: Człowiek. —

.....

Płacz się rozległ między aniołami, gdy brat ich, z niebios strącony, zatrzymał się na ziemi, — miejscu swego wygnania. A czterech było aniołów, którzy ponad innych ukochali upadłego swego brata. Więc chociaż już wszystkie gwiazdy pozapałały swe światła, tym czterem aniołom sen nie mógł skleić powiek i łzami wciąż zachodziły ich oczy, bo z powiewem wieczornego wiatru dochodził do nich z ziemi jakby jakiś szept, tłumiony a łzawy: „Bracia, czyliż zapomnicie o wygnańcu?“

I każdy z tych czterech aniołów przyrzekł w cichości serca pomoc temu nieszczęsnemu.

Anioł pierwszy bez szelestu wstał ze swego łoża i zbliżywszy się do skarbcza, w którym mieściły się wszelkie klejnoty niebian, zapukał.

A gdy skarbnik się ukazał, rzekł mu anioł: „Brat nasz, wygnaniec, odarty jest ze wszystkiego, co stanowi treść życia... Cóż się więc z nim stanie, jeśli my o nim pamiętać nie będziemy? Więc przyszedłem do ciebie i z klejnotów moich najpiękniejszy chcę dać bratu memu na ziemi: niech się rozwesela jego łzawe smutne oczy. Daj mi klejnot Potęgi.“

Potęgę ducha chcę mu dać, zapomocą której człowiek panuje nad innymi ludźmi. A choć wśród was potem będę jak żebrak — jakaż przyjaźń nie czyni z siebie ofiar? —

Wyjął ze skarbca klejnot swój i z westchnieniem, ale i z ukonjeniem serca spuścił na ziemię straconemu bratu.

A powracając na swe łoże spotkał drugiego anioła, który, tą samą myślą wiedziony, zmierzał do skarbca.

I rzekł mu, jaki podarek zesłał ludzkości. Ale anioł drugi odpowiedział ze smutkiem: „Potęga to dla człowieka źródło rozezarowań. Gdzie uświadomienia niema — tam potęga opierać się musi na fałszu i obłudzie. —

Ducha ludzkiego trzeba oświecić, jeśli los ludzkości ma być lepszy! —

To rzekłszy anioł drugi rzucił na ziemię upadłemu bratu jako podarek: Wiedzę.

A po chwili trzeci anioł przyłączył się do nich i rzucił z niebios człowiekowi podarek — Miłości.

Wtem stanął przy nich anioł czwarty i szeptem im opowiedział, że korzystając z twardego snu skarbnika wypróżnił całkowicie skarbiec i wszystko co w nim było spuścił człowiekowi na ziemię.

Krzyknęli z podziwem i przerażeniem aniołowie: „I byłeś w stanie unieść wszystkie klejnoty skarbca?“

Lecz ten odrzekł:

„Jeden tylko był klejnot, ale wielki — i ten zesłałem człowiekowi. A klejnot ten — była to „twórczość artystyczna“. Nie więcej w skarbu nie znalazłem.

Skoro ranek zawitał, zaczęli przełożeni anielscy zdawać przed swym Panem sprawę.

A gdy nadeszła kolej na skarbnika, spojrzenie czterech aniołów z obawą zawisło na jego ustach.

Lecz skarbnik rzekł, jak zwykle, że wszystko jest w porządku i w całości, nadmienił o nowych klejnotach, jakie wpłynęły do skarbca w ciągu dnia ubiegłego i wspomniał jedynie o tem, że trzech aniołowie wyjęli ze skarbca swoje klejnoty: potęgi, wiedzy i miłości.

A wtedy anioł czwarty padł przed Stwórcą na twarz i rzekł: „Oto podskarbi Twój mówi, że wszystko jest w całości, bo widocznie nie zajrzał do skarbca. Jego więc dotknął by gniew Twój sprawiedliwy, gdyby się uszczerbek w skarbcu miał okazać. Ja się przeto sam oskarżam, że m dzisiajszej nocy potajemnie wyjął wszystkie klejnoty ze skarbca i wszystkiem je zaprzepaścił.


Na te słowa Stwórca dał znak, że wszyscy mają iść za nim. A gdy się otworzyły przed nimi odrzwia skarbca, ujrzeli zdumieni aniołowie, że skarbiec był pełen. Ale klejnot, którym był napełniony skarbiec, był tylko jeden.

Wziął do ręki swej ten klejnot Stwórca i rzucił nań spoj-
rzenie. I zapaliło się to spojrzenie tysiącem ogni w klejnocie, i uj-
rzeli aniołowie, co to był za klejnot: było to poczucie piękna.

Rzekł wtedy Stwórca: Jakiem kto okiem patrzy na ten klejnot,
takim się też ów klejnot staje. Oto źródło wspólne, z którego czer-
paliście wszyscy. Lecz w ręku człowieka klejnot ten nie będzie miał
swej całej mocy, bo człowiek jest niedoskonały.

I zesłli owi aniołowie na ziemię, aby towarzyszyć cierpiącej
ludzkości w wędrówce przez wieki. Po dziś dzień, jak od początku,
anioł Potęgi hipnotyzuje ludzkość, anioł Wiedzy dzieli to, co jest
niepodzielne, anioł Miłości żyje złudzeniami, zaś anioł Sztuki czerpie
pokryjomu klejnoty z Piękna natury i znajduje zawsze jeszcze klejnot
jakiś dla człowieka, gdy skarbiec serca ludzkiego się wypróżni.

Kazimierz Rakowski.



MODLITWA.

„Nie wódz nas na pokuszenie
„Ojców naszych wielki Boże!...”
Oto wnosim głos w pokorze:
Przez tych Ojców krwawe cienie,
Zbudź w nas, Panie, zbudź sumienie!
Bo inaczej wróg nas zmoże...

Smutno u nas — coraz smutniej...
W ciele naszym rak dziś gości,
Nie warcholstwa i nie kłótni —
Lecz — zaniku uczciwości!...

Każdy dzień nasz rozkład stwierdza...
W przyszłość patrzym pełni trwogi —
Jeszcze, jeszcze stoi twierdza!...
Lecz — zatruty duch załogi!...

Już pamięci nie wystarczy,
Aby zliczyć tych wyrodków,
Co niepomni jasnej tarczy,
Ani haseł wielkich przodków, —

Co błękitnej krwi niegodni,
Zamiast bronić się zawzięcie —
Zdradą — najpodlejszą z zbrodni,
Ród skazali na wyklęcie!

...Przykład hańby dali wodze...
Skąd w nas wstąpić ma otucha?
...Wiedziem wzrokiem po załodze...
Jakich ona hasel słucha?...

Czy w niej płonie miłość wzniosła?
Czy się garnie ławą zwartą
Do tej Straży, co podniosła
Polski sztandar nasz nad Wartą?

...Ach! dzień każdy rozkład stwierdza...
W przyszłość patrzym pełni trwogi...
Jeszcze, jeszcze stoi twierdza!
Lecz — zatruty duch załogi!

Chłopy idą w wodzów ślady —
Ich przykładem się tłumacza —
Wieść codziennej niemal zdrady
Serc nie wstrząsa w nich rozpaczą!...

Rak nas toczy!... rak straszliwy!
Ręka w rękę — jawnie — zgodnie —
Na ciele Matki pół żywej
Szlachta z ludem spełnia zbrodnie.

Dziś szatański święcim cud:
Zdradza szlachta!... Zdradza lud!!...

.....
„Nie wódź nas na pokuszenie
„Ojców naszych wielki Boże!...“
Oto wnosim głos w pokorze:
Przez tych Ojców krwawe cienie,
Zbudź w nas, Panie, zbudź sumienie!...
Bo inaczej wróg nas zmoże....

Siemianice, 20. listopada 1905.

Marya z Fredrów Szembekowa



Z obrazów kultury.

Smutno szumiały leśne drzewa do siebie; chyliły się sosny ku świerkom, białe brzozy do jodeł i do tu i owdzie jeszcze stojących odwiecznych dębów starszków, jakoby im cześć i szacunek oddać pragnęły; one tylko te stare dęby niewzruszone stały a pozwalając wiatrom swem liściem trzepotać wtórowały ponurym melodyom swej młodszej leśnej braci.

Coś złowrogiego było w tym szumie — lecz na to niezwracał wcale uwagi jadący bryką przez las stary woźnica Bartłomiej. Cóż mu tak spieszo, jakaś chmura na twarzy, niecierpliwie batem popędza szkapiny i nie widzi nawet, że z boku drogi przez las ku niemu bieży jeden z leśnych drwali; dopiero na wołanie tegoż przystaje niecierpliwie:

„Nie zatrzymujcie, dla Boga, bo spieszo mi do miasta, nasz borowy umiera, a z synem głuchoniemym, co z zakładu ma przybyć by ojca pożegnać, widzieć się chce jeszcze, właśnie po niego spieszę na kolej.“

Drwal na te słowa nie badał dalej woźnicy Bartłomieja, lecz zawrócił z drogi do boru i na przełaj dążył szybko do leśniczówki. I on posmutniał dowiedziawszy się, że tak źle z borowym, którego szanował bardzo jak i wszyscy, co w lesie panu pracowali. Zasługiwał na to borowy Sosienka, bo wiele przechodził w swem życiu, a zawsze był prawym i wiernym synem Ojczyzny i swego Kościoła św. Przed trzema laty pochował żonę, jedno dziecię jeszcze za życia nieboszczki umarło, a zostało się troje, z których najstarszy syn 13-letni był głuchoniemym i kształcić się musiał w zakładzie w X. Dwie ostatnie nieletnie dziewczynki po śmierci matki chowały się pod okiem starej Tomaszowej, która służąc u borowego stała się teraz niejako podporą całego domu. Wszystko spoczęło zupełnie na jej głowie od dnia gdy Sosienka ciężko zaniemógł. Coraz widoczniejszym było że to ostatnia jego choroba — czuł to sam chory dobrze, lecz nie chciał umierać bez Boga i bez jedyne go syna tem więcej przezeń umiłowanego że w tem straszne m kalectwie żyć musiał bez swojej i rodziców winy. To też posłał najpierw po księdza proboszcza, przyjął ostatnie sakramenta św. i pokrzepiony na duchu spokojnie oczekiwał godziny przybycia kochanego syna. Czuł, że mu Pan Bóg tej łaski nie odmówi i że mu przed śmiercią syna do serca przytulić pozwoli. Obawiał się jednak, że może ciężko mu będzie porozumieć się z biednym kaleką przy swojej słabości — napisał więc już przed-

tem na karcie papieru ostatnie swoje pożegnanie, upomnienia i błogosławieństwo dla syna, które do chwili jego przybycia chował przy sobie.

Karta ta zawierała następujące słowa: „Synu najdroższy, widzisz co ze mną się dzieje, matkę pochowałeś i ojciec cię opuści, bo słabym się czuję i umierać będę. Ty zostaniesz z twojem kalcetwem, lecz ci je nauka trochę zmniejszy i osłodzi. Na ostatnie upomnienie piszę ci te słowa, pamiętaj zawsze, że choć ułomnym jesteś, masz mieć serce i duszę prawego Polaka, wierzącego głęboko katolika, bo nie wart ten nic, co się swej wiary i narodowości zapiera. Ufam w Bogu i Najśw. Pannie, że ciebie mój synu drogi od wszelkiego złego na tym świecie zachowają, módl się i pracuj, pamiętaj o siostrach i módl się za drogich rodziców swoich. Błogosławię Cię w Imię Najśw. Trójcy Amen.

Był właśnie piątek, godzina trzecia po południu, gdy drwał zachodził do leśniczówki, zapukał do drzwi i pochwaliwszy Chrystusa zbliżył się do łóża chorego:

I cóż to panie borowy, tak źle dziś z Wami?“ —

„Jak widzisz dobry Macieju — już nie wiele godzin, Bóg je porachował — lecz syna doczekam, bo i proboszcz mówił, że byłem prosił o tę łaskę, to jej Bóg nie odmówi.“

„Ej może Was miły Bóg pocieszy jeszcze, bo smutno w boru robić, kiedy Was tam niema — gdy sosny szumią zda się że za Wami płaczą.“

„Niech płaczą toć je całe życie kochałem i wśród nich pracami zesła.“

Nad łóżkiem chorego wisiał drewniany krucyfiks, a ponad nim wielki obraz Najśw. Paniienki Częstochowskiej przed którą się lampka świeciła — z boku zaś strzelba nieodstępna towarzyszka borowego na jego wycieczkach codziennych.

Weszła w tej chwili stara Tomaszowa z dziećmi, które do łóża ojca przybiegły. Rozjaśniało oblicze chorego, z kolei je do serca przytulił z wysiłkiem kładąc ręce na ich złote główki; nic przytem głośno nie mówił tylko coś szeptał ustami i spozierał na ciemną lecz tak słodką twarz Maryi. Wtem zaturkotało przed domem — „pewnie biedny Janek przyjechał“ mówi Tomaszowa, drwał Maciej wyszedł i po chwili wrócił, wiodąc przed sobą głuchoniemego chłopca. Ciężkim swym chodem przerwał Janek złowrogą ciszę domową a widząc bladego ojca w łóżku rzucił się ze łzą w oku ku niemu.

Po pierwszym powitaniu, przy którym Janek niezrozumiałe tylko wydawał głosy ze siebie, skinął ojciec na niego by usiadł na

krawędzi łożka a sam wydobyl z pod poduszki kartę z swem pi-smem do syna. Nie przyszło biedakowi na myśl w chorobie że znajdują się ludzie na świecie, którzy i kalectwo nadużywać będą dla „wyższej kultury“.

„Czytaj“ rzekł podając Jankowi papier.

Rumieniąc się patrzył chłopczyna na pismo, lzy jedna po drugiej z dużych oczu padały na kartę zalewając litery, a ojciec rozczulony tym widokiem z miłością patrzył na syna.

Wtem chłopiec powstaje i stłumionym głosem bełkoce z rozpaczliwym ruchem te słowa: „guter Vater, kenne nicht diese Sprache kann nichts verstehen.“

Śmiertelna bladość wystąpiła na oblicze ojca, jęknął złowrogo a dwie duże lzy potoczyły się po jego obliczu! Ostatnie to były w tem życiu.

Janek z przerażeniem chwycił ojca rękę, przycisnął do ust i poczuł że już sztywną była — boleść rozdzierała mu piersi jęczał i płakał — czy więcej nad śmiercią ojca, czy nad tem że z umierającym porozumieć się nie mógł?!

Drwal Maciej świadek niemy tej sceny wybiegł z izby — ścisnął w garści siekiereę biegnie prosto przed siebie — aż nagle przystaje i trzęsąc się cały z wzruszenia, ze ściśniętego gardła posyła w las straszne słowa skargi i rozpaczy. Trzy razy zawtórowało mu echo od starych odwiecznych dębów. Aż dreszcze przeszły Macieja i upamiętał się, z całej siły wbił siekiereę w najbliższą sosnę, ukląkł i ze łzą w oku wyszepnął: „Boże, Boże jak długo jeszcze?!“

Golejewko.

Ks. Zdzisław Zakrzewski.

O C Z Y.

Lubię wpatrzona w bliźnich swych źrenice
Z ócz ich wyczytać myśli tajemnice,
Bo tak w ich oczach dusza się kryształa
Jako się niebo przegląda w wód fali.

Lubię spojrzaniem siostrzanem i tkliwem
Spotkać się z okiem smutnem, nieszczęśliwem
I poprzez oczy wlać w zboląle dusze
Trochę współczucia, ukoić katusze.

Lubię spotykać takie dobre oczy,
 W których się wiara z nadzieją jednoczy,
 Gdzie miłość Boga i miłość do świata,
 Zgodnie się w sercu w jeden akord splata.

Lubię wpatrzona w dziecięcych ócz głębie,
 Widzieć ich dusze czyste i gołębnie,
 Na które żadna plama nie upadła,
 Co jakby Bożej myśli są zwierciadła.

Boje się oczu, których nikt nie zgadnie,
 W których moc skryta spoczywa gdzieś na dnie,
 Takich, co bluźnią temu, co jest święte,
 Co znają drogi ślizkie i wyklęte.

Więc tak wciąż czujnie trzymam wzrok na straży,
 A serce nieraz po cichu zamarzy:
 Ach, gdybyż Boże, jak najczęściej było
 Ócz, w których by się trochę szczęścia lśniło!

Paula Wężyk.

Pragnienie.

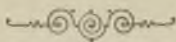
Dziś miałbym świat mój na inny zamienić,
 by spokój ducha kupić zapomnieniem
 skarbów mych dawnych, — każdy pęd wypłenić,
 co z duszy wnętrza wyrasta korzeniem
 kwiatów bajecznych o przedziwnej woni,
 chylących krasne nademną kielichy?

Przebóg! Niech lepiej me słońce się skłoni
 w cieniów kraj chmurny, bezbrzeżny i cichy.

Jest kres dla mojej pieśni, i mej mocy, —
 (nademną niebo mgliste, zimne, szare,
 skąd płyną świty i cień wiecznej nocy),
 lecz nim ku ziemi opuszczę mą czarę
 do dna spełnioną, — chcę, by w twojej dłoni
 ona u ust twych zawisła na chwilę;
 ja — com w mej rączce za szczęściem pogoni —
 zawodu — klęski zaznał w życiu tyle —

chciałbym to jedno pragnienie mej duszy
zaznać spełnionem — a przyjdzie zmrok szary
i pieśń ma skona w strefach wiecznej głuszy, —
zasnę spokojny, że piłaś z mej czary.

S. W—ski.



O frymarce ziemią polską ze strony włościan polskich.

Pragnę wypowiedzieć słów kilka w sprawie, dzisiaj, zdaniem mojem, najważniejszej, piekającej wprost, a mianowicie: „O frymarce ziemią ojczystą ze strony włościan polskich“, tak straszne przybierającej rozmiary w ostatnim czasie!

Trudno naprawdę zimną krew zachować, gdy się tę kwestyę właśnie poruszy! — Toż to najboleśniejszy i najhaniańbniejszy objaw naszego życia porozbiorowego w dobie obecnej, a przytem objaw całkiem niespodziewany, który, jak piorun uderzył w nas, zaprawdę już dosyć znękanych zaraz po emanacyi nowych praw antypolskich w ostatniej kadencyi sejmowej.

W czasie najgorętszej walki w sejmie — wśród cierniowej drogi, którą wraz z kolegą Dziembowskim w komisji prawa osadniczego przebywaliśmy, w kole, a później w kraju, w prasie, na wiecach zwołanych w sprawie prawa osadniczego — wszyscy i wszędzie orzeźwialiśmy się nadzieją, przekonaniem, że włościanin polski, nie tylko własnej ziemi z rąk nie wypuści, lecz, że niejedno jeszcze gospodarstwo niemieckie wykupi, że niejednego robotnika polskiego, pragnącego nabyć kawał ziemi za krwawo zarobiony grosz, do swego ogniska przytuli, — jednym słowem, wierzyliśmy wszyscy, że w silnej dłoni chłopca polskiego ta nasza droga ziemia ojczysta wobec wszelkich wrogich zamachów, wobec wszelkich zmiennych losu kolei — o ile to wogóle jest w mocy ludzkiej — jest i będzie zabezpieczoną! Wiare tę w chłopca polskiego w zaborze pruskim, nie tylko my pokładaliśmy — wiare tę dzieliła z nami cała Polska jak długa i szeroka.

Gdy po ustawieniu wielkiej maszyny germanizacyjnej i eksterminacyjnej przeciwko nam, jaką jest Komisya kolonizacyjna, zakładaliśmy Bank Ziemi w Poznaniu, by chociaż z szczerym funduszem ratować tę ziemię, ile będzie w naszej mocy — my wszyscy, którzyśmy stanęli na czele tej instytucyi, przejęci byliśmy głębokiem przekonaniem, że przeprowadzenie ziemi z ręki bankrutującej wielkiej własności w ręce włościan polskich, właściwym zasadniczym winno

być programem tej akcji obronnej i ratunkowej dla ziemi polskiej. Przekonanie to tak dalece dzieliły inne dzielnice Polski, że wprost za warunek subskrybowania akcji Banku Ziemskiego położyła Galicya, Królestwo i prowincye zabrane, iż Bank Ziemski wyłącznie parcelacją obszarów dominialnych między chłopów polskich zajmować się będzie.

I przyznać musimy, że warunek i program ten były słuszne; w ciągu kilkonastoletniej swej działalności Bank Ziemski rozparcelowawszy około 100,000 morgów magdeburgskich pomiędzy włościan polskich, nie miał powodu zachwiania się w swej wierze w chłopą polskiego!

Przeciwnie, doświadczenie zrobione z nabywcami parcel — z małemi wyjątkami — świadczyły o tem, że włościanin polski jest sumienny, pracowity; że umie produkować i oszczędzać, że rzetelnie dotrzymuje swoich zobowiązań, że pomimo najgorszych konjunktur handlowych i klęsk żywiołowych w płacy za własną i rodziny pracę wygospodarowuje czystą rentę z ziemi, tam gdzie wszelka renta dla większej własności ustawała. Liczyliśmy, jak na Zawiszę, na tego chłopą polkiego — on miał być opoką, ostoją, niewzruszoną kotwicą dla nawy narodowej, wśród szalejącej zewsząd burzy.

To przekonanie o chłopie polskim nie tylko my mieliśmy, powzięli je i Niemcy i rząd.

Gdy statystyka urzędowa pruska z r. 1904 wykazała, że od roku 1896 do 1902 a więc w sześciu latach w W. Ks. Poznańskim i w Prusach Królewskich

Niemcy od Polaków kupili 4 500 hekt.,
a na odwrót Polacy od Niemców kupili 40 000 hekt. w ogóle,
a w szczególe:

włościanie polscy od Niemców 29 000 hekt. w parcelach
i całych gospodarstwach kupili —

a Niemcy w parcelach i gospodarstwach tylko 1 500 hekt.
od polskich chłopów zakupić zdołali, —

na widok tych liczb potężne Królestwo Pruskie, ów rocher de bronze — skała spiżowa, jak się sami nazwali, wobec takiej „Polengefahr“ zdrżało w swych posiadach. Wobec takiego niebezpieczeństwa, nie widziano innej rady jak zasłonić oblicze posagu Sprawiedliwości, ukuć czempredziej prawo wyjątkowe wbrew konstytucyi i tak powstało owo okrutne prawo osadnicze, wymierzone głównie przeciwko chłopu polskiemu. Zapewne cios prawem tem włościaninowi i robotnikowi polskiemu wymierzony był strasznym i bolesnym. Krzywdę mu wy-

rządzono sroga, bo wszakże tak dobrze jak odsądzony został od prawa wybudowania sobie dachu nad głową na własnej ziemi — zato zaszczyt dla niego był wielki. Aż takich środków chwycić się musiano, by go zatrzymać w rozmachu! Gdyby go nie krępowano, byłby swojemi spracowanemi rękoma wyrzucił większą część zbankrutowanej niemieckiej wielkiej własności i napowrót zagarnął, co większa własność polska w ciągu 100 lat była zaprzepaściła.

Komisya kolonizacyjna rady na to dać nie mogła — chłop polski lepiej płacił jak ona, a patryotyzm niemiecki próby ogniowej złota nie mógł wytrzymać. Taką była sytuacya przeszłej zimy w czasie kadencji sejmowej, w której prawo osadnicze uchwalone zostało.

Dla mnie, jako posła, pewną osłodą wśród ciężkich chwil tej sesyi była możność rzucenia w oczy większości w sejmie junkiersko-nacyonałliberalnej, która prawó osadnicze ukuła, — przy etacie kolonizacyi — liczb dowodzących, że instytucya ta zupełnie w działalności swej zwichniętą została — ponieważ dzięki chłopu polskiemu i szlachcie jeszcze pozostałej z małymi wyjątkami dzielnie się trzymającej, Kolonizacya w ostatnich latach mało z polskich rąk wykupiła. Stała się ona prawie wyłącznie bankiem ratunkowym dla zbankrutowanej, po uszy zadłużonej, wielkiej własności niemieckiej, a przytem, dla braku osadników, tylko małą część zakupionej przeważnie od Niemców ziemi, rozparcelować zdołała. Musiała tworzyć domeny i wydzierzawiać je zbankrutowanym dawniejszym właścicielom tychże dóbr. Wydawszy prawie pół miliarda marek, zakupiła wprawdzie dużo ziemi, lecz przeważnie z rąk niemieckich i osadziła około 40 tysięcy Niemców włącznie kobiet i dzieci, z których jednakże znaczna część już w Księstwie i w Prusach Zachodnich poprzednio była zamieszkała.

Taką, niewesołą dla Niemców, a smutną i dla nas, bo jakkolwiekby dotkliwie straty ponieśliśmy — ale zarazem podniosłą dla nas, a zawstydzającą dla przeciwników naszych — była sytuacya na końcu zeszłego roku. To też reprezentanci społeczeństwa polskiego z podniesionem czołem stawać mogli i stawali w Berlinie do końca kadencji; nieszczęśliwi byliśmy i czuliśmy się wszyscy, lecz tylko kilku wśród 3—4 milionów było wyrodnich, nikczemnych synów ojczyzny.

A dzisiaj?

Dzisiaj wobec coraz częstszych, niemal codziennych hiobowych wieści w gazetach o dobrowolnych, czysto spekulacyjnych sprzedażach ziemi polskiej z rąk włościan polskich Komisyi kolonizacyjnej lub Landbankowi lub żydom, czy Niemcom, przykro będzie stanąć oko w oko tryumfującym przeciwnikom w Berlinie, bo chociaż cisnąć im

będzie można w oczy niecne sposoby używane i użyte w celu demoralizowania chłopą polskiego — nie będzie można zaprzeczyć faktowi, że demoralizacya ta się szerzy w zastraszający zaiste sposób.

Wszakżeż dosyć było smutku, wstydu i hańby stąd, że przez lekkomyślne życie nad stan lub nieuctwo w zawodzie rolniczym i nie-dołęstwo, większa połowa ziemi z rąk szlachty polskiej przeszła w ręce niemieckie, — czyż koniecznem ma być dopełnienie miary sromu i pogromu naszego, haniebnym coraz częściej od pół roku powtarzającym się faktem, że włościanin polski — ta nasza ostatnia dźwignia — dla spekulacyi, dla łatwego, wygodnego zysku tę świętą swoją i naszą ziemię polską zaprzepaszcza może na wieki!

Czyn to tak potworny, że miałyby się ochotę przyjąć, że włościanie polscy, którzy sobie takie handelki i spekulacyjki urządzają — „nie wiedzą, co czynią;“ chyba nie rozumieją i pojąć nie mogą, że w naszym położeniu, wśród walki na śmierć lub życie w obronie naszych ołtarzy i ognisk pro aris et focis — ta ziemia nasza polska, to nie towar lub produkt, który się dla prostego zysku za wyższy grosz, z zarobkiem przehandlowuje.

Chyba nie rozumieją, że u nas tutaj w zaborze pruskim wobec Komisji kolonizacyjnej i prawa osadniczego każdy Polak sprzedający ziemię innoplemieńcowi — krzywdzi całe społeczeństwo polskie nie tylko obecne, ale i w następnych pokoleniach!

A jeżeli to czyni nie z potrzeby, lecz dla zysku, wtedy rozmyślnie i świadomie krzywdzi swych braci, swoje i ich dzieci, bo ta ziemia, którą on z ręki wypuszcza, na długo, jeżeli nie na zawsze z obiegu, z targu, z handlu jest wycofaną dla Polaków, — nabyć ją może tylko Niemiec lub rząd — Polak wykluczony od kupna jej, chybaby wielkie jakie wojny lub katastrofy społeczne i polityczne, których nikt przewidzieć nie może, całą Europę przewróciły, jako mówią do góry nogami!

Przypuścmy, ażeby nikogo nie krzywdzić, że są włościanie polscy, którzy całej ohydy postępowania sprzedawczyków nie rozumieją, którzy jej nie odczuwają, którzy zatem z nieświadomością puszczają się na spekulacyjkę sprzedaży swej zagrody za wysoką cenę, choćby Komisji kolonizacyjnej lub Landbankowi albo pierwszemu lepszemu agentowi — aby większe gospodarstwo kupić, lub z renty osieść w miasteczku.

Są może jeszcze tacy ucziwi, lecz krótkowidzący ludzie — ale są to w każdym razie wyjątki tylko — przeciętny włościanin polski bynajmniej nie jest w ciemię bity, ani też ciemny. Czyta on gazety i książki, w których ciągle mowa o sprzedawczykach.

Nie więc brak oświaty, lub sprytu wrodzonego są powodem, że włościanin polski coraz częściej samowiednie ulega pokusie łatwego chociaż hańbiącego zysku. Nie, właściwym powodem jest wrodzona żyłka spekulacyjna i egoizm, sobkostwo wybujałe, które swój ciasny, obecny tylko interes widząc, bez względu na współbraci, na naród, na przyszłość, idzie za łatwym zyskiem, za worem złota, którym mu przed nosem potrząsa agent Kolonizacyi lub Landbanku, ofiarując mu nieraz wprost bajeczne ceny za gospodarstwo!

Niechaj jeszcze do tej pokusy dołączy się inny jaki, mniemany lub rzeczywisty, ale często błahy powód zniechęcenia chwilowego do gospodarstwa, lub trudności z najemnikiem, z dziećmi, kłęski w inwentarzu lub w polu, — a haniebny handel, niabyto z czystym sumieniem się dopełnia i odziedziczony, krwawym potem ojców zroszony kawał ziemi polskiej, jak łomowy kamień ze skały, z głuchym łoskotem stacza się w przepaść, z której chyba Bóg sam go znowu wydobędzie; oj! strzeż się niecny sprzedawczyku, aby ci łoskot tego kamienia w godzinę śmierci nie zabrzmiał po raz ostatni w uszach — po tobie słyszeć go będą w każdym razie i złorzeczyć ci długo całe pokolenia!

Czasami, aż mrowie mnie samego przechodzi z obawy, czy nie sędzę za ostro, za bezwzględnie? Chcąc być sprawiedliwym, przyznaję, że nieraz potrzeba wielkiego zaparcia się swego własnego, oczywistego interesu, potrzeba poświęcenia osobistych względów, potrzeba wielkiego hartu duszy, siły charakteru i miłości dla sprawy i dla ziemi ojczystej, aby się obronić pokusie złota, a nieraz nawet niesłychanemu naporowi władz, by chłopą polskiego spowodować do sprzedaży swej zagrody.

Dopiero co w Banku Ziemskim zdarzył się wypadek, że chłop, który był nabył od Banku gospodarstwo przed laty, na którym mu się nie bardzo wiodło, napisał do Banku, że będzie je musiał sprzedać Kolonizacyi, która mu ogromną daje cenę. Z Banku Ziemskiego ofiarowano mu wszelką pomoc, by go utrzymać na gospodarstwie, znając go, że jest pracowity, trzeźwy i uczciwy. Mając pomoc zapewnioną, odmówił sprzedaży Komisji kolonizacyjnej ów gospodarz. Myślano w banku, że niebezpieczeństwo tem samem zażegnane. Mija jeden tydzień i drugi, aż naraz nadchodzi list od owego gospodarza, donoszący, że rady sobie nie wie, bo od czasu, jak odmówił sprzedaży Kolonizacyi, żandarm z jego podwórza nie schodzi — co chwilę znajduje jakiś powód do interwencji, do skarg podanych do komisarza, do landrata, że sypią się kary policyjne jedna do drugiej — chcą go wykurzyć jak jaźwca z jamy! Jeżeli się nie da podkopać

i wysadzić, to będzie w skromnym swym zakresie bohaterem! lecz takich jest i będzie mało! Zaprzeczyć się nie da, że Kolonizacya, a więcej jeszcze ostatnie prawo osadnicze włościanina polskiego w nader trudne i przykre położenie wprawiły. One to są powodem, że włościanin polski w swem sercu i sumieniu ciężką ma do stoczenia walkę z sobą samym, tam gdzie interes materyalny z obowiązkiem moralnym wprost stają w przeciwieństwie. Przez prawo osadnicze naturalny stosunek, wzajemna pomoc, jaką sobie ekonomicznie dawali Polak-gospodarz, właściciel zagrody i Polak-robotnik, właściciel małego zaszczerzonego kapitaliku, kandydat na parcelę — całkiem zwichnięte lub znacznie utrudnione zostały.

Tak w razach, w których gospodarstwo włościaninowi było za wielkie dla braku najemnika lub za małe dla licznej rodziny, znajdował włościanin polski nabywcę w parcelniku polskim, płacącym najwyższe ceny, albo mógł przykupić do swego gospodarstwa od parcelników, którzy dorobiwszy się, szukali większej zagrody. To też tak długo jak ten naturalny trwał stosunek, nie było mowy o sprzedażach Komisji kolonizacyjnej lub komukolwiek obcemu, z małymi chyba wyjątkami. Dopiero od emanacyi prawa osadniczego, którego zastosowanie wprost stało się skandalicznem — z powodu czego zaraz po zwołaniu sejmu Koło polskie wniosie interpelacją — ów stosunek włościanina polskiego do robotnika polskiego, kandydata na parcelę, stanowczo zwichnięty został.

Różnoległość — różnoczesność prawie działania prawa osadniczego z coraz częstszymi sprzedażami gospodarstw ze strony włościan polskich jest tak uderzającą, że chyba jakiś związek przyczynowy pomiędzy dwoma temi objawami istnieć musi!

Aby wytłomaczyć sobie koneksyę, związek przyczynowy pomiędzy dwoma temi objawami, odpowiedzieć sobie potrzeba najprzód na pytanie: czy nie mogąc osiągnąć od władzy konsensu na mieszkanie, parcelant może nadal kupować ziemię od gospodarza, właściciela zagrody?

Otóż odpowiedź na to zapytanie nie może nastąpić w dwóch słowach — chyba, że się powie: Tak, parcelant Polak może i nadal nabyć parcelę od właściciela zagrody Polaka, pod warunkiem, że tenże da mu mieszkanie dla niego i jego rodziny.

Nasuwa się od razu dalsze pytanie: Jak mu może dać to mieszkanie, skoro nie dostanie konsensu na wybudowanie mieszkalnego domu z drugim ogniskiem — kominem?!

Odpowiedź na to pytanie brzmi: Dwie są alternatywy, w których się właściciel zagrody najczęściej znajduje, a którego powodują do sprzedaży i szukania innej zagrody, innego „miejsca“ jak z niemiecka często włościanie zagrody nazywają. Albo ma za wielkie gospodarstwo od 80 mórg w górę, którego sam z rodziną obrobić nie może, choć liczną, przy małej rodzinie już i mniejszego gospodarstwa obrobić nie jest w stanie — a o najemnika coraz trudniej. Parobków kawalerów i dziewczek prawie już wcale dostać nie można, a żonatych najemników nie ma gdzie pomieścić. Albo druga alternatywa: Właściciel zagrody ma za małe gospodarstwo, a liczną rodzinę; mógłby więcej ziemi obrobić i takową przy parcelacji większego majątku w sąsiedztwie przykupić, ale brak mu pieniędzy na to, a w razie, gdyby wziął skąd pieniądze, mając gospodarować o granicę, potrzebowałby także najemnika i to żonatego, pewnego człowieka, ale go niema gdzie pomieścić.

Otóż nawet przy nowem prawie osadniczem, w obudwóch tych razach, zdaniem prawników wytrawnych, włościanin musi dostać konsens na wybudowanie albo drugiej chałupy, albo na powiększenie własnej, bo zmusza go do budowania nie zamiar parcelacji ale konieczność, wypływająca z wielkości jego gospodarstwa, z większej intensywności produkcji i z konieczności trzymania najemnika żonatego w braku kawalerów. Właścicielowi zagrody tak samo jak właścicielowi wsi dany być musi konsens na pobudowanie mieszkania dla najemników — czy przez powiększenie domu, czy przez budowę drugiego domu. W drugim przypadku nawet w ten sposób gospodarz małej zagrody może przyjść równocześnie i do najemnika i do pieniędzy. Może sobie nająć parcelnika posiadającego grosz nakładowy, który gospodarzowi da na hipotekę tymczasem, zanim się nie dorobi większej sumy na kupno zagrody, pracując latem u gospodarza a zimą w Westfalii lub Saksonii. Wogóle włościanin polski, chcący szczerze i niezłomnie utrzymać ziemię, dbający o swe dobre imię, może tę ziemię utrzymać w każdym przypadku, byle się zdecydował podać rękę robotnikowi polskiemu; jeden bez drugiego obyć się nie może, gospodarz potrzebuje najemnika, robotnik mieszkania, roboty i lokacyi swego kapitaliku, jeżeli na razie nie w ziemi, to na ziemi na hipotece.

A konkurencyi z dominiami robić sobie gospodarze przez to nie potrzebują. Dominia niechętnie przyjmują młode małżeństwa bez lub z małemi dziećmi — tj. najemnik żonaty stworzony dla gospodarza — byle wrócił na lato, najemnik taki gospodarski całą zimę może pracować i zarabiać w kopalni bez szkody dla gospodarza, który mu daje robotę latem, a mieszkanie cały rok.

Na tych kilku wskazówkach poprzestaję, rozpisawszy się i tak już za obszernie. Na posiedzeniu zarządu „Straży“, do którego na-
leżę, postawiłem wniosek aby „Straż“ zajęła się zwołaniem do Pozna-
nia walnego wieca chłopskiego, na którymby sprawa frymarki ziemią
z strony włościan obszernie omówioną i przedyskutowaną została po-
między włościanami a prawnikami, ekonomistami i posłami! Musimy
wspólnie coś wymyślić i obmyślić aby odwrócić „ten największy z ból-
łów ból, tj. ludu duch zatruty!“

Wniosek mój przyjęty został, wiec chłopski zwołany zostanie
w krótkim czasie w Poznaniu, mam nadzieję, że się nań włościanie
licznie stawia. Oczywiście sprzedawczyków tam nie będzie, z tymi
mówić nie chcemy — ale przybędą wszyscy ci z pomiędzy włościan,
którym cześć stanu włościańskiego i ta droga ziemia
nasza leży na sercu, a tych Bogu dzięki jeszcze jest większość!

W każdym razie nadwężenie tego naturalnego stosunku przez
prawo osadnicze pchnęło włościanina polskiego na drogę demoraliza-
cyi; tutaj się ulął robak-sprzedawczyk!

Aby go wytępić, w tę stronę trzeba uderzyć! Trzeba szukać
sposobów, aby węzeł pomiędzy gospodarzem a robotnikiem polskim
— dzisiaj zerwany — na nowo i to tem silniej zadzierzgnąć.

Prawda! ale jak tego dokazać, skoro robotnik polski zarobio-
nym swym kapitalikiem już parceli od zagrodnika nabyć nie może,
nie mogąc otrzymać konsensu na pobudowanie sobie mieszkalnego
domu? I skoro zagrodnik nabywców Polaków nie może już tak
łatwo znaleźć ani na część swego gospodarstwa, ani na rozbitcie ca-
łości na parcele? Jakiż więc rodzaj transakcyi mogą jeszcze z sobą
robić? Czy nie są zmuszeni każdy iść inną drogą i wprawdzie kan-
dydat na parcelę do Ameryki, a włościanin, zagrodnik, do Kolo-
nizacyi?

Takby się zdawało i tak się zdaje wielu, a jednak tak być
nie potrzebuje i być nie może, bo toby był koniec Polaków i katoli-
ków na tej polskiej ziemi. Jakiż więc może być ten węzeł pomię-
dzy gospodarzem a robotnikiem polskim?

Otóż nie inny, jak ten, że robotnik polski musi znaleźć u go-
spodarza robotę, przynajmniej latem, mieszkanie dla żony i dzieci
na cały rok i lokacyę swych pieniędzy na hipotecę.

Nasuwa się w tej chwili pytanie: jakże mu ma dać mieszka-
nie, skoro go nie ma, a pobudować nie może?!

Na to odpowiedź: za pozwoleniem! nie wolno budować w celu
parcelacyi bez pozwolenia Komisji kolonizacyjnej, ale wolno budo-
wać dotąd z konsensem prostym budowlanym od komisarza, mieszka-

nia dla najemników żonaty, o ile ich potrzeba do prowadzenia własnego gospodarstwa.

Jak tysiącmorgowy właściciel dóbr rycerskich musi mieć pomieszkania dla conajmniej 10—12 rodzin robotników, tak 80—100 morgowy, a nawet już 50—60 morgowy gospodarz przy bardzo intensywnym trybie gospodarczym musi otrzymać konsens na pobudowanie mieszkania dla 1—2 rodzin robotników, — na mniejszych zagrodach na przybudowanie do swego domu.

Wszystko zależy od tego, czy gospodarz polski zdecyduje się na przyjęcie żonatego robotnika, jako najemnika na zagrodzie.

Gdy się na to zdecyduje, wnieść musi o konsens na mieszkanie dla tegoż robotnika z rodziną, a konsens taki, jak na budowanie domów komorniczych większemu właścicielowi dóbr i gospodarzowi na zagrodzie danym być musi.

Mówiłem o tem z wielu prawnikami i wszyscy zgodzili się na to, że konsens na budowanie mieszkań dla robotników rolnych, kawalerów czy żonaty, gospodarzom danym być musi. Prawo osadnicze z sprawą tą nie ma wcale związku — nie mogło więc gospodarzom prawa do takiego konsensu od komisarza odebrać.

Że zaś gospodarz dzisiaj na większem, lepiej, bo intensywniej zagospodarowanym, większą ilość okopowych sadzącem gospodarstwie, sam z rodziną takiej zagrody obrobić nie może, — na to pewno zgodzimy się wszyscy. A konieczny ten najemnik gospodarski najczęściej będzie musiał być żonatym, bo wiemy wszyscy jak trudno o parobków kawalerów i o dziewczyny najemne.

Powiecie może gospodarze: tak jest, ale skąd mamy wziąć pieniądze na budowanie chałup dla robotników żonaty? Na to odpowiadam: bierzcie takich robotników, co mają pieniądze zarobione „w świecie“, a te pieniądze weźcie od nich na hipotekę i pobudujecie zato mieszkania dla nich! A tak podawszy sobie ręce — gospodarz i robotnik polski — wspólnie pracować będziecie, wspólnym związani interesem i tak długo pracować, zarabiać i kapitalizować będziecie, aż lepszych doczekacie się czasów, — bo Pan Bóg błogosławić będzie takiej wspólnej bratniej, zbożej pracy około i na ziemi polskiej. Wtedy ród sprzedawczyków wygaśnie — a my ostaniemy się wszyscy na glebie naszej!

Nie podobna mi sprawa tej, tak ważnej, w ramach krótkiego artykułu szczegółowo omówić. Ograniczyć się muszę na rzuceniu tej myśli tutaj, jak to już na wiecach w Kościanie i w Śmiglu uczyniłem.

Zadaniem by było wielkiego wieca chłopskiego szczegółowe omówienie tej sprawy i powzięcie w niej rezolucyi.

Włościanie, miłujący ziemię, obyczaj, język ojezysty, powinni z swej strony wziąć tę sprawę w rękę i to jak najprędzej. Chodzi przecież o honor, o dobre imię całego stanu włościańskiego, a z niemi o cześć i godność całego społeczeństwa polskiego w Zaborze Pruskim.

Dość już hańby, dość sromu i klęsk nam utrata ziemi skutkiem lekkomyślności, życia nad stan lub niegospodarności wyższych stanów zadała, — nie dopuścimy wszyscy, a stan włościański niech sam przedewszystkiem o to dba, aby nas „największy z bólów ból“ nie dotknął, którymby był: „ludu duch zatruty“. Pamiętajmy wszyscy słowa jednego z największych naszych mężów stanu, Staszycy, opiewające, że „upaść może naród nieszczęśliwy — zginąć tylko niktzemny;“ a sprzedawczyk nie z konieczności, lecz dla spekulacji, dla łatwego wielkiego zysku — to nie nieszczęśliwy — to niktzemnik!

Splawie, w styczniu 1906.

Dr. Witold Skarżyński.

Pieśń Straży.

Nad Wartą, hej nad Wartą
 Niezłomna czuwa Straż;
 Źrenicę ma otwartą,
 Ku wrogom zwraca twarz,
 Ich każdy śledzi ruch
 — Niezłomna Straż nad Wartą
 Z chorągwią rozpostartą,
 A hasło jej: Czuj duch!

Ojczyznę nam wydarto,
 Lecz kraj nam został nasz,
 Nad Wartą, hej nad Wartą
 Niezłomna czuwa Straż;

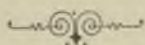
 Niezłomna Straż nad Wartą,
 A hasło jej: Czuj duch!

I żyć i umrzeć warto
 Za kraj, za język nasz —
 Nad Wartą, hej nad Wartą
 Niezłomna czuwa Straż.

Tych skarbów strzeże dwóch,
Falangą stojąc zwartą —
Niezlomna Straż nad Wartą,
A hasło jej: Czuj duch!

Na wierze naszej wspartą
Ty Boże moc nam dasz —
Boś dał nam ponad Wartą
Polskiego ducha Straż;
Więc teżym wzrok i słuch
W noc czarną, rozpostartą,
Do bratnich serc nad Wartą
Wołamy wciąż: Czuj duch!

Lucyan Rydel.



Boże mój Boże!

Dzisiaj przed Tobą duszę otworzę...
Przytłaczających trosk ciężkie brzemię
Pod stopy krzyża Twojego złożę,
Usta otwieram od bolu nieme...

Boże mój Boże!

Niosę narodu krzywdy, jak morze
Wielkie, z goryczy kropel złożone
I rzek niedoli, — Izy dzieci łożę
I matek naszych serca strwożone...

Boże mój Boże!

Składam Ci dzieci, ubiczowane
Za miłość słodką do ojców mowy,
Dusz rodzicielskich otwartą ranę,
Na widok krzywdy ciągłej, wciąż nowej...

Boże mój Boże!

Składam Ci młodzież naszą przed sędzie
Włęczoną, jako podli zbrodniarze,
Że polską była i polską będzie
I za tę winę podległą karze...

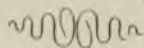
Boże mój Boże!

I wrogów niosę Ci urągania,
 Kiedy nas w łachman wielkości stroją...
 Tę gorycz, co nam duszę rozrania
 Na krzyk obłudny, że nas się boją...
 Boże mój Boże!

Ku Tobie oczy niosę zławione,
 O moc błagając i o wytrwanie,
 W Tobie nadzieje nasze złożone
 Całe, bo duszy sił już nie staje...
 Boże mój Boże!

I tylko krzepi nas ta otucha,
 Że zaród nosi ten zmartwychwstania,
 Kto jak Ty w cierniach bólu ma ducha,
 Że dając krzyż nam — dasz moc wytrwania...
 Ojczy i Boże!

Michał Bończa.



Z wycieczki.

.... Zaraz za Halberstadtem zmienia się krajobraz: powierzchnia tu bardziej falista, więcej tu wzgórz, „jarów“, przypominających mi Ukrainę, więcej drzew, zieleni... Pociąg zakreśla półkola. W dali, po lewej stronie toru kolejowego, widnieje sylweta Harcu, którego północne stoki stromo wyrastają z linii horyzontu.

Przypatruję się krajobrazowi — aż oto pociąg zwalnia biegu i zatrzymuje się w ... szczyrem polu. To stacyjka „Ströbeck“, tak od imienia wsi niedaleko położonej nazwana. Wioski tej coprawda nie widać, ale o jej bliskim znajdowaniu się świadczy wieżyca kościelna, strzelająca ku niebu z zieleni drzew, wierchołkami swymi wynurzających się z doliny — i stojący samotnie opodal na wzgórzku wiatrak skrzydlaty.

Wysiadłszy z wagonu i wypytawszy się o drogę — ponieważ nie było tu, na stacyi, ani wózka, »ani wołu, ani osła itd.« — *per pedes apostolorum* wygodnym gościńcem, wysadzonym młodemi jabłonkami, puściłem się ku wiosce.

W naszym „polskiem“ wyobrażeniu — to nie „wioska“; niema tam chat niskich, przygarbionych, niema słomianych dachów, niema

zgrai ujadających psów, niema nadewszystko „chłopów“... Natomiast są tu brukowane (wyraźnie »brukowane«) ulice, piętrowe kamieniczki, w oknach — firanki „miejskie“; jest poczta, telegraf — ba! — telefon... Są nawet sklepy i „Gasthofy“. Ludzi tu jednak prawie nie widać; — zapewne w polu; wszędzie pusto, zrzadka przewinie się tylko jaki „Bauer“ na rowerze ulicą, którą ożywiają jedynie bawiące się dzieci...

Lecz pocom tu przybył? Co tu jest ciekawego do zobaczenia? — w tej wsi, której nawet najdokładniejsze przewodniki nie wymieniają...

Oto dowiedziałem się przypadkowo, że Ströbeck — to »Schachdorf«, »schachowa wieś«. Mieszkańcy tej wsi są namiętnymi graczami w szachy; nawet w szkółkach tutejszych uczą dzieci grać w szachy, a ku końcowi roku szkolnego zadają szachowe „Preissaufgaben“ — zadania konkursowe. Zwycięzca otrzymuje nagrodę w postaci szachownicy z odpowiednim napisem i przyborami.

O tem wszystkim dokładnie dowiedziałem się od gospodarza »Gasthofu zum Schachspiel«, który mię też poinformował i co do przeszłości tego zwyczaju. Oto według podania w roku 1011, biskup halberstadtzki, Arnold, zwyciężywszy jakiegoś księcia słowiańskiego (Wendenfürst) osadził go jako więźnia w Ströbeck'u. Biedny jeniec, tęskniąc wśród murów więziennych za ojczystym krajem, wspomniął o grze, którą się w nim w chwilach wolnych ze swymi ziomkami zabawiał... Wspomniął i jął rzeźbić z drzewa figurki, ze stołu zaś zrobił szachownicę, a nauczywszy gry tej strażników, którzy go pilnowali — z nimi grywać począł. Od strażników tych gra w szachy, nieznaną przedtem w Ströbeck'u, rozpowszechniła się szybko pomiędzy mieszkańcami, którzy z czasem stali się nałogowymi graczami — a potem i po za obrębem małej tej wioski, po całym kraju...

Baszta, w której osadzonym był ów książę słowiański, przetrwała wieki i dziś jeszcze wznosi się opodal wspomnianej oberży, na uliczce, wiodącej ku kościołowi. Zowie się ona »Schachturm«, »basztą szachową.« W mieszkaniu zaś gospodarza oberży przechowuje się dwie starożytne szachownice wraz z figurami. Jedna z nich nosi tu nazwę »historycznej« i pochodzi z r. 1561, jak o tem świadczy współczesny napis pod znajdującym się u dołu tablicy rysunkiem, przedstawiającym ogólny widok Ströbeck'u z połowy XVI wieku.

.....

Henryk Ułaszyn.



NASTRÓJ SŁOTNEJ NOCY.

I.

Za oknami w nocnym zmroku
 Wiatr zawodzi, jęczy — świszczy.
 Z spopielających wstaje zgliszczy
 Sen mój dawny, sen miniony...
 Staje, rośnie w mgieł obłoku
 Świat przeczuty i wyśniony. —
 Zda się, że czar dziwnej mocy
 W marzeń bezkres mnie otula...
 O bezgwiezdna — dżdżysta nocy!
 Serce tęskni — wicher hula.

II.

Wicher hula — deszczem — słońcą
 W szyby moich okien pryska.
 Przez zagonów mych ścierniska
 Idę tułacz — otulony
 W płaszczy wytarty — za tęsknotą
 W kraj przeczuty i wyśniony.
 Mży szaruga. — Zawierucha
 Syci płomień pośród zgliszczy,
 Serce tęskni... wichru słucha,
 Co za oknem hula — świszczy.

Poznań, 14. stycznia 1906.

S. W—ski



Są uroczyńska....

Są uroczyńska, odległe wygony,
 Kędy się pielgrzym nie rozgaszcza chętnie;
 Z ziemi znękanej, pustej i wzgardzonej
 Cmentarny smutek rozpaczliwie wieje.
 Są uroczyńska, odległe wygony,
 Ponure, głuche, odumarłe knieje,
 Są pustyń niemych nieprzebyte piaski...
 A jednak słońce ścisza je namiętne,
 W bezpłodne łono wpieszcza swoje blaski.

Są cichych jezior przezrocze topiele
 W zięjących paszczach przepastnych wyłomów;
 Groźne rozparły się głazy na czele

Twierdz niezdoytych hardego granitu.
 Są cichych jezior przezrocze topiele,
 Nowych wciąż ofiar żądne, bez przesytu...

A jednak miesiąc, spragniony pieszczoty,
 Skrada się mimo strażnicy ogromów:
 W nurtów uścisku gasi żar tęsknoty.

Są myśli mroczne, posępne, ponure,
 Jak noce zwątpień niemych, pognębienia;
 W chaosu mętą zatopion wichurę

Wzrok po manowcach zradnych krąży błędnie.
 Są myśli mroczne, posępne, ponure,
 Pod trupiem technieniem ich kwiat życia wędnie...

A jednak dusza ima ich się stale
 I bolesnego pełna upojenia
 Za niemi czołga się w swym ślepym szale.

Maryan Seyda.

Przed stu laty.

Sto lat dobiega, jak dnia 14. października 1806 r. ów „bóg wojny“, którego imię było Napoleon, w podwójnej bitwie pod Jeną i Auerstädem rozbił jednym zamachem całą potęgę Prus, tę pierwszorzędną ówczesną militarną siłę, ufną w swe wiekopomne fryderykowski tradycje. Klęska pruska była zupełną, a tak niespodziewaną i szybką, że zanim wieść o niej doszła do Berlina, już tam dotarły przednie strażce zwycięskiej armii. Napoleon stał się od razu panem całego Królestwa pruskiego, a tem samem i rozległych ziem polskich z Poznaniem i Warszawą, traktatami podziałowemi do Prus włączonych.

W Poznaniu władze pruskie jeszcze w pierwszych dniach listopada nie chciały dawać wiary pogłoskom o takim pogromie. Gdy

3. listopada przybył tam konno z Berlina młody Dezydery Chłapowski, podówczas uczeń szkoły artylerji w Berlinie, i opowiadał o zajęciu stolicy pruskiej przez Francuzów, zawazanym został przed komendanta miasta i strofowanym za rozsiewanie fałszywych wiadomości. Ale już tego samego dnia wieczorem zjawił się w Poznaniu pierwszy regiment strzelców konnych francuskich pod dowództwem pułkownika Exelmans. Szwadron pierwszy z dobytymi pałaszami przebiegł kłusem przez całe miasto, na znak wzięcia go w posiadanie, i rozlokował się za Wartą na drodze Warszawskiej. Drugie szwadrony spokojnie stanęły na Rynku. Wnet cały Rynek, pomimo bardzo spóźnionej pory dnia, zaroił się od nieprzeliczonego tłumu. Wszystkie stany, wszystkie warstwy ludności polskiej tem samem wiedzione uczuciem wybiegły na powitanie Francuzów. „Niech żyje cesarz Francuzów“, „niech żyje nasz oswobodziciel“ — zagrzmiało ze wszystkich piersi. Spadały nagle pęta niewoli, nowa otwierała się przyszłość.

Nazajutrz załoga wojskowa pruska cichaczem opuściła Poznań, a władze cywilne uczuły się zupełnie bezradne. Urzędowa nawet gazeta niemiecka miejscowa zamieściła entuzjastyczny opis przyjęcia Francuzów przez ludność Poznania. To też skoro w dwa dni później stanął na wielkopolskiej ziemi wódz legionów, generał Henryk Dąbrowski, umyślnie przez Napoleona wysłany, przyjazd jego był prawdziwie tryumfalnym pochodem. Wszędzie po drodze witały go deputacje; liczny orszak młodzieży szlacheckiej konno wyruszył na jego spotkanie; w Poznaniu tłumy zalegały ulice, całe miasto rześście było oświetlone; z karety, wiozącej generała, wyprężono konie i pociągnięto ją w tryumfie.

Dąbrowski przywoził Polakom zapewnienie Napoleona, że przyszłość ich ojczyzny od nich samych zależeć będzie. Aczkolwiek wszystkie te zapewnienia i obietnice wyrachowane były przedewszystkiem na pobudzenie Polaków do ofiarności z krwi i mienia, wywołały one, rzecz prosta, jak największy zapal. Cała szlachta ofiarowała natychmiast dziesiąty grosz z dochodów na potrzeby wojska. W wielu miejscowościach zawiązały się konfederacje celem werbowania żołnierzy i obmyślenia środków na ich umundurowanie. Kilku majątniejszych obywateli własnym kosztem wystawiło pułki. Najstarszy z byłych wielkopolskich senatorów, Radziwiński, wojewoda gnieźnieński, starym zwyczajem rozesłał wici, powołujące do pospolitego ruszenia. „Niech każdy kto może władać orężem — brzmiał uniwersał wojewody — siada na koń, a najmniej niech z każdego domu jeden z synów czy braci zbrojno pod chorągwią Ojczyzny bronienia na koniu stawa i jednego z sobą, lub dwóch pocztowych wiezie, ubranych w wojewódzkim mundurze krojem kurtek i czapek wojskowych.

A ktoby sam nie mógł stawać zbrojno, ani być wyręczonym przez syna lub brata, ten w miarę majątku stawia zastępców ze stanu rycerskiego i pocztowych zbrojnych.“ Zebrało się na ten jakby zagrobowy głos dawnej Rzeczypospolitej w krótkim bardzo czasie 6000 jazdy, którą Napoleon osobno zlustrować, i następnie do wojska regularnego wcielić rozkazał. Duszą wszystkiego był Dąbrowski. On przy pomocy swego tyloletniego towarzysza i przyjaciela Józefa Wybickiego umiał zapalać, który był ogarnął całe społeczeństwo, skierować ku najpraktyczniejszym celom; on z właściwym sobie zmysłem organizacyjnym zaprowadził zaraz rząd tymczasowy; on zajął się ze zdumiewającą gorliwością spiesznem utworzeniem kadrów wojska polskiego; a nie zapominał i o opiece przynależnej ludności niemieckiej, i zastrzegł jak najsurowiej, by tej ludności, zwłaszcza zaś byłym urzędnikom pruskim, żadna nie działa się krzywda.

Z dnia na dzień zmieniała się cała postać rzeczy w tak zwanym departamencie Poznańskim i departamencie Kaliskim. Rządy pruskie przestały istnieć. Administracya kraju spoczęła w ręku Polaków, poważnych obywateli, którzy do pomocy, a zwłaszcza dla niezbędnych informacyi mieli sobie przydanych dawnych pruskich urzędników. W Poznaniu utworzona gwardya narodowa z najznamienitszej młodzieży, oddana pod komendę Umińskiego, mustrowała się codziennie. W innych miastach ruch panował niezwykły, w jednych bowiem rozkwaterowano francuskich żołnierzy, w drugich werbowano, mundurowano, mustrowano polskiego rekruta. Regulamin wojskowy francuski, przetłumaczony na język polski, służył do instrukcyi. Instruktorami byli po większej części starzy legionieści z Włoch, czempredzej przybyli. Po kilkunastoletniem dobrowolnem wygnaniu, podjętem dla miłości ojczyzny, a spędzonym na chlubnych bojach wśród pobojowisk świata całego, wracali oni w rodzinne progi, przynosząc żywy przykład tych cnót, których nie dostawało ogółowi narodu polskiego w chwilach upadku. Pieśń legionów dolatywała już wprawdzie nie od dziś coraz rozgłośniejszem echem z nad Sekwany i Tybru aż do Warty i Wisły i budziła serca zastygłe po ostatniej narodowej klęsce; ale teraz pieśń ta stała się rzeczywistością. Przybył Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski, a za jego przewodem złączyli się z narodem ci dobrowolni wygnańcy, którzy uratowali cześć imienia polskiego, którzy wśród chwil najcięższych nigdy nie zwątpili. I oto naród cały odczuł i zrozumiał, że „Polska nie zginęła i zginąć nie może!“

Dosyć przypomnieć ten tak powszechny zanik patryotycznych uczuć po ostatnim rozbiore, to znieczulenie wobec największego nieszczęścia, tę bezmyślność, objawiającą się w trybie życia oddanego zabawom, widzącą w zaborze najznacniejszej części ziem polskich przez

Prusy tylko poniekąd zmianę panującego i oczekującą po królu pruskim, by rządził tą ziemią w myśl dawnych przywilejów szlacheckich, dosyć to wszystko przypomnieć i porównać z ówczesnem ocknieniem się ducha, aby się przekonać, że była to chwila przełomu.

Dlatego też i dziś po stu latach pamiętną nam być winna. Miłość ojczyzny, która na nowo rozlała wtenczas w sercu każdego Polaka, miłość ofiarna, pełna poświęcenia, nie wygasła dotąd i da Bóg nie wygaśnie. Ona to w trudnych, w trudniejszych i twardszych może niż kiedykolwiek warunkach, gdy nie o szabli, ale jedynie o cichej pracy nad własnem wydoskonaleniem myśleć możemy, da nam siłę do wytrwania.

Ludwik Mycielski.



Fragment.

Dzień wstał w królewskiej zórz rannych purpurze
I strzał słonecznych dyamentowe groty
Cisnął, na rannych mgłach, płomienne róże
Malując. Środkiem łąki, jak szlak złoty
Struga się wije. W oddali, jak stróże
Legł siny łańcuch gór... Ujęta w płoty
Chróściane, w sady kwietne otulona,
Wieś się rozsiadła — polska wieś — rodzona!

Poza nią boru odwiecznego ściana
Chłodem swych mrocznych ostępów dysząca —
Na tle jej ciemnem wieś, światłem oblana,
Barw się tysiącem mieni, drga do słońca!
Wiśniowych sadów białość nieskalana
Na traw zielone puchy, śniegi strąca —
A z nad strzech ciemnych, w niebo lazurowe
Strzelają dymu kolumny różowe.

Dzień wstał. Już długie zórawie studzienne
Chylą się z jękiem w głąb ciemną i chłodną;
W drobnych okienkach chat, słońko promienne
Rozpala błyski jarzące. Nad wodną
Tonię wierzb chylą się kopyły senne,
Kwiecie na łące wonią pachnie miodną,
A wśród szmaragdu traw, jak pereł sznury
Chwieje się gęsi szereg śnieżno-pióry!

Wśród wsi, na wzgórzu, w lip stuletnich wianku,
 Kościółek stary bieleje się zdala;
 Na wieżach jego, na każdym krużganku
 Krzykliwych kawek zgraja się przewala —
 W czyste, wilgotne powietrze poranku
 Z starej dzwonnicy dźwięków płynie fala —
 Tehnienia wiosenne na skrzydłach ją niosą
 Hen! Ponad łąki osrebrzone rosą!

Potężnym dźwiękiem swej piersi spiżowej
 Na „Anioł Pański“ przedzwaniają dzwony,
 Śpiew im ptaszęcy wtóruje z dąbrowy.
 Oracz, co czarne odwałał zagony
 Przyklął u pługą, włos obnażył płowy
 I pacierz szepce, kornie nachylony....
 I z Polski całej ku niebu się wzbija
 Głos wielki: „Zdrowaś o Panno Marya!!...“

Przełław, 9 grudnia 1905.

Walerya Szalay.



Rozumieli to najwięksi ludzie naszego narodu, najpotężniejsze duchy, że każde pokolenie polskie otrzymało pewną spuściznę historyczną w ideach, ideałach i ziemi, i nie mamy prawa jej rzec się, bo to nie nasz dorobek. Można go stracić lub uszczuplić w walce z napastnikiem, można sprzedać wrogom lub sprzeniewierzyć; dla pierwszych pozostanie współczucie, szacunek i sprawiedliwość, dla drugich — tylko pogarda.

Łozina, dnia 21. października 1905.

Fr. Rawita Gawroński.



Mojej...

Słyszysz głosy, ciche głosy
 Wołające nam:
 Złaczcie serca, myśli, czucia
 Idźcie, idźcie tam!

Tam, gdzie celów cel ostatni,
 Gdzie blask słońca lśni,
 Gdzie podniebnych pieśni struna
 Swą melodią brzmi!

Tam, gdzie cisza, wieczna cisza, —
 By tam w szczęściu żyć.
 By z cudownych źródeł życia
 Czar miłości pić!

By poznawszy ideału
 Nieuchwytny blask
 W dłoni dłoń, na ustach usta
 Zoczyć szczęścia brzask!

Słyszysz głosy, ciche głosy
 Wołające nam:
 Złączcie serca, myśli, czucia!
 Idźcie, idźcie tam!

Kazimierz Rwan.

CZY WIOSNA?...

(Na tle wieca „Straży“ w Żabikowie d. 17. XII. 1905.)

Przez otwarte na rozcież wrota stodoły parł się mróz i wszędy czepiał silnie, gdzie go wicher świszcząc rzucił. Skrzypiały krokwie i łomotały zluźnione deski u powały, szeleściła smutnie na klepisku podściółka i łamała się twardo, gdy naród, tupocąc przez nią, z namysłem walił do środka na przestrzał.

A było go sporo. Szedł taki spokojny, poważny.... Pogwarzał z cicha, aż stanął zawsze świadom siebie i czekający chwili.

Koło wrót na wewnątrz przy ścianie stół kulejący, krzesel kilka, ława jedna i druga....

Ksiądz proboszcz, dziedzic młody i krzepki, owdzie rządcza czy gorzelany, z rzadka rzemieślnik wiejski — osobno policya, a w głębi chłopcy, lud mocny i twardy, starzy i młodzi....

Z za chmur ciężkich, ołowianych, wyszło zachodzące słońce zimowe, czerwone, bez blasku. Idzie spać, jakby znużone niedzielą bezczynnością, co ni plonu ni zysku nie daje....

A od stropu padł mrok szary i kładł się na chude, kościste twarze, aż ziemną powlokły się barwą. I ogarnął całkiem tę zbitą, sztywną masę, co wrosła w ziemię i stoi i czeka....

Tylko oczy świecą, tylko tu i owdzie ciche leci westchnienie...
 Słuchają mówcy.

Z razu z warg jego bladych, zziębniętych nie równo wychodzą słowa. Aż rozgrzał go zapał, aż na policzkach zsiniałych krew słabe

wybiła rumieńce. Włosy płowe rozwał mu wiatr — co słucha sam i wtórem szumi...

„Oto z nocy idą w noce długie i ciemne. I światła trzeba, gorejącej pochodni, a sięgnąć nam po nią do własnych piersi. Na wichry i mrozy, na grudę i skrzepłe szlaki...”

Słuchają i stoją, jakby zastygłe drzewa w lesie, co wiatr z góry szarpie, i z dołu piaskiem zarzuca, a wdrzeć się w środek niemocen.

„Nie zdierzy...”

Ponad twarzami, widocznymi już tylko w zarysach ciemnych, mówca kończąc patrzy przez wrota otwarte w dal szarą.

Słońce czerwone schodzi wolno za ugór, z rzadka śniegiem pobielany. Gdzieś z krańców wyszedł opar, otulił błękitną mgłą lasy i chyląc się skrada cicho po grudzie. Widać jeszcze, gdzie sterczą kamienie, mrozem przykute do martwej ziemi, gdzie chwieją się zeschłe badyle...

Wiatr, co spocznie na chwilę, znów porwie się z nagłą, uderzy w poszycie i goni źdźbła słomy...

I idzie ta noc mroźna, noc biała bez gwiazd, bez gwaru i ciepła, i sunie w całunach śmierci jak zmora...

„Nie zdierzy!...”

A lęk za nią i złość zimna...

„Nie zdierzy!...”

Zawrzały okrzyki, skrzepłe biją dłonie, aż gwar głośny przewał wzruszony głos dobrodzieja...

„Nie zdierzą!...”

Porwał się ptak, skulony w dziupli poddasza, zaświegotał radośnie i niepomny mrozu i nocy, leci... leci...

A za nim goni dusza, zbudzona z letargu, dusza ludu, goni przez senne, zimne łąny w przyszłość jasną, ciepłą, promienną blaskiem wschodzącego słońca, — goni i pyta zdumiona: czy wiosna? —

Acer.

Gdy publiczność oklaskuje aktora grającego na scenie, nie oznacza to jeszcze, że gra jego jest dobra, lecz tylko, że się podobała. Podobnie także i w dziennikarstwie: popularność nie zawsze jest miarą zasługi, a zasługa rzadko cieszy się należnym uznaniem. Aż nazbyt często bywa ono dopiero — pogrobowym udziałem zasługi. Zwłaszcza polski dziennikarz powinien zawnocześnie pogodzić się z tą myślą.

Wiedeń, 8. grudnia 1905.

Dr. Adam Bieńkowski.





Wśród burz i gromów świata pochodu,
 Krzyżową drogą mego narodu,
 W pokutnej szacie ojczystej doli
 Przeżyłem długie lata niewoli,
 A od kolebki do mego zgonu,
 Wierzyłem — wierzę w prawdy zakonu, —
 Wierzyłem — wierzę przez żywot cały
 W jego odwiecznej czei ideały,
 Jakimi dotąd ojczyzna święta,
 Na swym dziejowym krzyżu rozpięta,
 Po wszystkie czasy i pokolenia
 Wskazuje jasną drogę zbawienia
 W promiennem świetle przezczystej wiary,
 Modlitwą — pracą — przez krzyż ofiary!...

I dzisiaj jeszcze w mogiły progu,
 Gdy wszyscy moi zasnęli w Bogu,
 A ja już może niemal ostatni
 Zamykam zgasłych ten pochód bratni, —
 I dzisiaj jeszcze, o bracia moi,
 U tych wieczystych stojąc podwoi,
 Nie doczekawszy dni wyzwolenia,
 Idę pokutną drogą cierpienia,
 A krzyż mój niosąc tu w imię Boże,
 Spokojnie głowę też pod nim złożę;
 I marzyć będę snami jasnemi
 Pospołu z wami o naszej ziemi,
 Bo pospół z wami w każdej potrzebie
 Wierzyłem, — wierzę, że Bóg jest w niebie!...

On jeden tylko, a nie narody
 Prowadzi dziejów świata pochody; —
 On jeden tylko, — nie siły zbrojne,
 Nie potentaty mocarstw dostojne,
 Ni dyplomcyi tajne układy,
 Ani szalonych tłumów gromady!
 On jeden tylko na światów tronie,
 Pan i Zbawiciel w ludów obronie,
 Od wieków w wieki nam się tu jawi,
 Gromami karze, — lub błogosławi!...

Więc na tej wiary dogmacie wsparty,
 Ja „w racy i stanu“ nie wierzę „czarty“
 Ani w szatańskie wierzę androny,
 Których dziś godłem „sztańdar czerwony“!...

Jako bywało, tak będzie zawdy,
 Bóg był i będzie dogmatem prawdy!
 A co się kiedy na świecie działo,
 Prawem i wolą się Jego stało!...
 Sam szatan nawet w to wierzyć musi,
 Bo pełen trwogi się wiecznie kusi
 Złamać potęgę, którą go trwoży
 Nieba i ziemi majestat Boży!
 A z wieków w wieki, jak świat ten stary,
 Narzędziem tylko jest Bożej kary;
 Więc ja o świetle tej krwawej łuny,
 Jaką nam grożą piekiel zwiastuny,
 W chwili pożaru, jakim świat gorze,
 Wołam do Ciebie: ratuj nas Boże!...

Lecz my się musim ratować sami,
 Zanim się Pan Bóg obliczy z nami,
 Bo stygmat bóstwa kładąc na czole,
 Dał On nam rozum i wolną wolę! —
 Zbawienie duszy — rodziny — domu —
 Od nas zależy w chwilach pogromu,
 W których On, Sędzia, na szali zważy,
 Czyśmy tu wiernie stali na straży;
 I czy już dzisiaj, w przedświtu porze,
 Ojczyznę naszą wyzwolić może;
 I czy my, w czasie ogniowej próby,
 Oślonić możemy ten kraj od zguby,
 W szczepowej walce z dziedzicznym wrogiem,
 „I s a m i z s o b ą“ — przed Panem Bogiem!...

Tchnieniem wolności zdala owiani,
 Myśmy nadzieją samą pijani!
 Z pieśnią na ustach, z sztandarem w dłoni,
 Przedwcześnie idziem w złudnej pogoni
 Za zwodną marą, gwarnie i tłumnie,
 Lecz nierozważnie i nierozumnie!

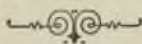
Bo nie nerwowych wrażeń zapałem
 Gonić nam trzeba za ideałem,
 Ale z godnością stać na wyłomie
 W tej pobratymczej walce pogromie,
 Jakiej ostatniem słowem być może
 Braterstwa ludów królestwo Boże,
 Którego jutrznia zaświeci z dali
 Tym, którzy serce Bogu oddali!...

Gdyby to iście spełnić się miało,
 I słowo Boże ciałem się stało,
 Ciałem idei świata pochodzą
 Serc zjednoczonych wielkiego rodu, —
 Gdybyśmy w zwartym szeregu stali,
 Braterstwa ludów hymn zaśpiewali
 I wspólnej sprawy pojmując cześć,
 Umieci sztandar idei wznieść,
 U rodzinnego zjednani proga,
 Wobec ziemskiego szatana — wroga,
 Który u wspólnych kresów podwoi
 Upiorem fałszu od wieków stoi,
 Jadem nas toczy, — płazem się wiję,
 A krwią i łzami naszemi żyje!...

Gdybyś, o Boże, tym cudem cudów
 Uświęcił serca zwaśnionych ludów,
 A łącząc ducha węzły świętymi,
 Powrócić raczył cześć polskiej ziemi; —
 Jaby po długim żywota znoju
 Pod znakiem krzyża zasnął w spokoju;
 I po wiekowej niemal żałobie
 Pokutną szatę bym złożył w grobie, —
 Bo, jakom wierzył — marzył w potrzebie,
 Wierzyłbym — marzył i nadal w niebie!
 Tak, jak dziś jeszcze nie tracę wiary,
 Że przez te burze i krwi ofiary
 Wola się Twoja na ziemi stanie
 I że ojczyznę nam wrócisz Panie!...

Poznań, w listopadzie.

Benzelstjerna Engeström.



NIESPODZIANKA.

Wózek mój lekko pędząc, jak tancerka,
 W pył się owijał, niby w rąbek gazy.
 Przy drodze ranną rosą sandomierka
 Myła młodziutkie ziarn swoich topazy;
 W dali za łączką, strojną w wód lusterka,
 Złote łubinu pachniały oazy.
 Lecz ja, nieczuły na wdzięk tej sielanki,
 Wciąż przyspieszałem lot mej nejtyczanki.

Wnet bruk zatętniał. Minałem rogatki
 I przez uliczek ciasne zakamarki,
 Płosząc po drodze pacholąt gromadki,
 Wpłynęłem w rynek, główny ul frymarki.
 Wieśniacze wózki lśniły tu jak kwiatki,
 A z nich miód ssały miasteczka szafarki.
 Wkrótce w targowym utonałem ruchu,
 Piosnkę skowronka mając jeszcze w uchu.

I długom wpośród pasiecznego gwaru
 Błądził, jak Marek, co poszedł w przysłowie.
 Wreszcie dla siebie i swego towaru
 Port w cichej kupca znalazłem alkwowie,
 Kędy siesty zwykli używać czaru
 I nowych facyend snuć pomysły w głowie.
 Na drzwiach jej skośnie rapir wisiał stary
 I smutne torso bezstrunnej gitary.

Wyjrzałem oknem. W dziedzińcu dokoła
 Przeróżne pudła leżały i kadzie,
 Mieszczące niegdyś gips, arak de Goa,
 Śledzie, guano, pieprz przy czekoladzie,
 Ówdzie samochód i sikawki, zgoła
 Bazar wszechświata w klasycznym nieładzie.
 Skrzętny Merkury, snać półkule obie
 Złupiwszy, tutaj tron zbudował sobie.

Ależ, o dziwy! za płotem podwórka
 Zieleń i kwiatów lśni mozaika śliczna.
 Wszak to ogrodu wdzięczna miniaturka,
 Z ramek wycięta, barwna, balsamiczna.

Na kobierczyku traw igra przepiórka
 I drobnych ptasząt drużyna rozliczna.
 U drażków kwitną róże remontanty,
 A delfin w wodne stroi je brylanty.

Lecz więcej jeszcze czarów przy parkanie
 Zdziwiona moja odkrywa źrenica.
 Bluszcz tam się wije, a pod nim w altanie
 Bańka z rybkami i hoża dziewica.
 Twarz ma schyloną, lecz wtem niespodzianie
 Świeże, różane odsłoniła lica.
 Książka w jej rękę błyszczy złotolita;
 Pewnie poezji skarbezyk jaki czyta.

Takaż więc wróżka i taka świątynia
 Kryła się w ciasnem podwórku kramarza!
 I najoschlejsza dusza, jak pustynia,
 Tęczowy miraż niekiedy rozżarza.
 Mróz nawet, w którym kwiat traci brzoskwinia,
 Na szybach palmy urocze wytwarza,
 Kto już o żadnym ideale nie śni,
 Temu ustępuj z drogi, synu pieśni.

Ludwik Mizerski.

Wspomnienie z dzieciennych lat.

Imię jej było Kasia. Miała oczy koloru ciemnego topazu, melancholii pełne i wystraszone, a nosek czarny jak trufelka. Urodziła się w falach złotego żyta i żniwiarze, którzy ją znaleźli, przywieśli ją do dworu. Pamiętam naszą radość, gdy wszyscy pragnęliśmy się nią opiekować. Ale rodzice oddali ją na wychowanie starej kowie w podwórzu, za którą przez pierwsze miesiące życia posłusznie chodziła. Założono jej czerwoną wstążeczkę wkoło szyi i wkrótce stała się faworytką wszystkich mieszkańców wsi.

Niestety Kasia zaczęła się nudzić. Natura ciągnęła ją do lasów, łąk i pól dalekich, poczęła do nich uciekać i czasami tygodnie całe mijały, a Kasi nie było. Potem powracała, zaglądała do drzwi i okien, jakby prosząc o przebaczenie i po paru dniach znowu gdzieś ginęła. Szczęściem znali ją wszyscy sąsiedzi i każdy z radością ją witał w ogrodzie, a ponieważ nie była trwożliwą, przeto każdy mógł

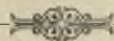
ją głaskać i nią się cieszyć do woli. Odwiedziwszy już wszystkie niemal dwory okoliczne, przyszła pewnego pięknego poranku do Ziemia, wioski należącej do Niemca, bogatego posiadziela mieszkającego w innej stronie Księstwa Poznańskiego.

Na folwarku mieszkał ekonom, pan Szulc czy Müller, odznaczający się wielką tuszą, ryżą brodą i licznem bardzo potomstwem. Kasi spodobało się w Ziemlinie, gdyż główną ozdobą parku, otaczającego dom mieszkalny, była kapusta, kartofle i różne inne specyały, które Kasia bardzo lubiła. Nic więc dziwnego, że pobyt swój w Ziemlinie znacznie przedłużała i o powrocie w rodzinne strony nie myślała. Przytem progenitura pana ekonomy obdarzała ją dowodami miłości, bawiąc się z nią w ogrodzie i karmiąc obficie. Niestety inny los był jej przeznaczonym. Pewnego dnia, było to w końcu jesieni, nadszedł telegram zwiastujący przybycie dziedzica, który objeżdżając swe majątki, na parę godzin do Ziemia się zapowiedział. Najprzód odbyła się wielka narada familijna, w jaki sposób należy bogatego pryncypała ugościć? Czy kapłona zabić, który jakby w przezcuciu niebezpieczeństwa, między agrest i porzeczkowe krzaki się schronił, czy posłać do miasteczka po wołowinę i „ein deutsches Bifsteak“ dziedzicowi ugotować? — ale od czego niemiecka praktyczność i oszczędność! Uchwała jednogłośnie zapadła i chwilę później wdzięczna postać kucharki państwa Szulców, ukazała się przed schodami domu, trzymając w jednej ręce nóż, a w drugiej główkę sałaty, mającej być przynętą dla biednej Kasi. Melodyjnym głosem zaskrzeczała: „Kascha! Kascha!“ i po chwili przybiegła Kasia, oblizując czarną swą trufelkę i ciesząc się na podawany przysmak. — Dziedzie zjadł obiad i pochwalił zapewne panią ekonomową za gościnne przyjęcie. —

Od tego czasu minęło już lat przeszło czterdzieści. Nikt już dziś nie pamięta tej małej sarenki oswojonej i ja sam chociaż często przez Ziemia przejeżdżam, rzadko kiedy o niej pomyślę, może dlatego, że gdy na ten dwór patrzę, inne myśli i uczucia do głowy i serca mi się cisną. A jednak zdarzenie to, zresztą banalne i proste, oddziało silnie na mój umysł dziecięcy i już wtedy zaważyło na szali mych sympatyj narodowych, a przytem nie jest zmyślone, lecz prawdziwe. Mogę nawet podać nazwisko owego bogatego dziedzica, który do dziś dnia żyje i od chwili tego zdarzenia, dużo bardzo dla chwały i kultury swego narodu uczynił. Nazywa się pan K..... Ten sam, co H. K. Tystów założył.

St. S., d. 29. 1. 1906.

Zdz. Cz.



Czy ty pomnisz....

jak na morzu,
 Płynęliśmy razem — łódką?
 Jak wokoło nas, w przestworzu
 Chwilę krótką....
 Błękit był — precudny czas,
 Cisza, pełna szeptów, drgań,
 Uśmiechów — łkań —
 Nikt nie słyszał ich — prócz nas!
 Czy ty pomnisz? że w przestrzeni,
 Chmur nie było — ani cieni —
 Tylko jasność — jasność — żywa,
 błyskotliwa —
 Tylko wkoło nas bujały
 Srebrne pianki — i ścigały
 hen — zapamiętałe
 Rozśpiewane dźwięcznie fale!

A tam słońce — na zachodzie,
 Tęczę barw różowych słało —
 I w falistej, drżącej wodzie
 Zalotnie się przeglądało....
 Łódka nasza coraz hyżej
 Mknęła ku tym smugom słońca,
 Lecz promyki niżej — niżej —
 Uciekały gdzieś — bez końca!

Między blaski te precudne
 Raz dopłynąć — gdyby można!
 Ale głębie tak ułudne....
 Fala się przytula trwożna,
 W cichą otehłań mórz zabiera
 Milion światel i... umiera. —
 Tyś posmutniał — tobie żal.
 Przepojonych słońcem fal,
 Chciałbyś je popieścić dłonią....
 Próżno smętne oczy gonią —
 Wstęgi złote lecą w dał,
 W blasków akord drżą zakłete,
 A jak szczęście — nieujęte!

A jak dola — takie psotne....
 Zda się, padł nam promyk jasny

Na głębiny serc zawrotne,
 I już myślím że nasz własny,
 Że go zabrać możem z sobą,
 Ku wspomnieniu — aż do grobu —
 Wtem czar pryska!

W ciszy sennej
 Mknie po smudze w dal promiennej,
 Łódź żywota —
 Za nią wlecze się tęsknota....

.....
 Wkoło pełno szeptów — drgań —
 Uśmiechów — łkań —
 A tam — błękit się wychyla....
 Złote wizye marzeń sieje —
 Zachwyt budzi, czar — nadzieję —
 Do dusz naszych się przymila —
 Pomnisz? cudna była chwila!

Maj 1905.

Iry.

Z cyklu „ze wsi“

ORKA.

Pług, cztery woły, za nimi zgarbiony
 Chłop stawia kroki powoli, z mozołem;
 Woły miarowo ze spuszczoneń czołem
 Kroczą, pług skiby odkłada na strony.

Chmur się na niebie suwają opony,
 Cienie rysując na ściernisku gołem;
 Chłop skroń obetrze, bat zatoczy kołem, —
 Zwolna za pługiem czarne kroczą wrony.

Woły pod jarzmem karki prężą zgięte,
 Mocno zaparte brną przez skibną rolę;
 Tra się rzemienie jak struny napięte,
 Pług się mozolnie pcha przez twarde pole;
 Chmury hen gnają jak kamienie zwarte, —
 Pług, woły, chmury, — jedną siłą parte.

Władysław August Kościelski.

R Ó Ź E.

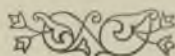
Ach jak ją kocham te róże czerwone,
Ten purpurowy w mym ogrodzie krzew,
Namiętne, czerwone róże.

Zanim się słońce ukryje zmęczone,
Za tajemniczą ścianą starych drzew
Kapie je w blasków purpurze.

Pomiędzy liście kryjąc się zielone
Róże się zdają czerwienieć jak krew,
Na szarym rozpięte murze.

Monachium.

Jakób Krzep.



Fałszywą miłość opląca się najczęściej prawdziwymi brylantami; prawdziwą miłość okupuje się najczęściej — łzami.

Stefan Krzywoszewski.



FRASZKA.

Napisał operę i miał śpiewać w niej główną rolę.

Już od miesiąca chodził jak nieprzytomny, powtarzał tekst i drżał na samą myśl, jak się powiedzie?

Nic go nie obchodził świat, ludzie, tylko jedna jedyna myśl, jak ona ją przyjmie, jak jej się podoba i jakie na niej zrobi wrażenie.

— Przyjdź! — mówił najczulszym głosem. — Ty nie wiesz jak mi zależy na zdaniu twojem. Pracowałem z myślą o tobie, by tobie się tylko podobało, chcę twoje zdanie usłyszeć, twoje tylko, a to zaś wszystko.

Przyrzekła że pójdzie, cieszyła się bardzo, nie mogąc doczekać wieczoru. Nawet nową suknię sprawiła na uroczystość.

Przed przedstawieniem wpadł do niej raz jeszcze i nogi jej i ręce całował, nic nie mówiąc, wzruszony treścią pierwszego debiutu artystycznego.

Wybiegł.

*

*

*

Na drugi dzień mówi do niej rozjaśniony.

— Jedyna! ukochana! niebывały tryumf, zachwyty, uznanie, wieńce. Wszystko tobie zawdzięczam, jedynie tobie, dla ciebie pisałem, dla ciebie śpiewałem, tobie grałem, widziałaś?

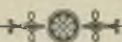
— Nie — mówi zażenowana.

— Nie byłaś?... — jęknął.

— Nie... służąca mi spaliła falbankę u nowej niebieskiej sukni, a innej na premierę wdziąć nie chciałam.

Kraków.

Bronisława Jeremi.



Wspomnienie z Goli pod Gostyniem.

(Z zapyłonej teki z r. 1852)

O witaj piękna włości z twoim białym dworem,
 Witajcie żyzne łąny wy z cienistym borem,
 Witajcie i wy błonia, wy łąki barwiste
 I ozdoba ogrodu, dęby rozłożyste.
 Witaj wiejska swobodo! twoje świeże technienie
 Rzeźwi duszę i leje słodkie upojenie! —
 Bo czy w pole gdzie wyjdę, gdzie na czarnej glebie
 Kłós się złoty kołysze radzący o chlebie,
 Czy pośród łąk i gajów legnę gdzie w murawie,
 I na przeciągające się patrzę żórawie,
 Lub ptasząt słucham śpiewu, czy nad świeżym zdrojem
 Na muszek patrzę taniec latających rojem,
 I pszczoł brzękiem kołysan, co naokół dzwonią,
 I świeżą kwiatów leśnych upojony wonią.
 Przelotne marzę dumki o szczęściu minionem,
 Wszędy ty mnie owiewasz, a czarownym tonem
 Wspomnienie tego szczęścia, jako dzwon daleki
 Brzmi dźwiękiem ukojenia do serca kaleki.
 A gdy słodka tęsknota do duszy się wkrada,
 W czyste niebios zwierciadło dusza się uklada,
 I jest jako jezioro spokojne i czyste,
 W które rade zagłada słońce promieniste.
 Witajcie i wy ludzie, dobrzy sercem, szczerzy,
 Którym wierzyć człek może, gdy powie, że wierzy.
 I pośród was jest szczęście, bo serdeczna żalność
 Umie świata jad leczyć przez serca wspaniałość.

Tu uprzejma gościnność — staropolska cnota
Zawsze w duszy wylanej otwarte ma wrota,
Tu dla całej ojczyzny prawe serce bije,
Tu jej imię nie dźwiękiem, ale czynem żyje,
Więc kto próg wasz przestąpi, jest jak w swoim domu,
Niewiązany obawą żeby pokryjomu
Złorzeczono gościowi, gdy mu w oczy radzi,
Że ci go skrycie wydrwią, że tamtym zawadzi,
Kto tu zajdzie, ten czuje, że wy z dobrą wolą
Obdzielacie się sercem, gdy dzielicie solą.
Wszak niejeden w tym domu otarł łzy cierpienia,
I wziął w drogę nad pomoc droższe przypomnienia.
Szczeńście wam Boże stokrotnie — o was lepszy powie,
Co wielki wieszcz o sławnym wyrzekł Soplicowie:
Że kto chce się zbyć kału i jadu obozyny,
Ten do was zająć powinien, jak w serce ojczyzny;
Dopiero, gdy się życiem waszem rozkołyszysz,
Znów się Polski napatrzy, nasłucha, nadysze! —
Witaj wiejska swobodo! tu bywa wieczorem,
Siądziemy sobie wszyscy na ganku, przed dworem;
To i biedny opatrzon, idzie sobie z Bogiem,
I gawędka, ruchliwa nie leży odłogiem,
Lecz jak ptaszek szczebiotka, polatuje wkoło,
Budzi ufność, żal tłumi i rozjaśnia czoło.
Bo szczerą, bez zawiści, bez jadu, przesady,
Prostotę ma za pokarm, nie sąsiadów wady. —
Z pól też wraca dobytek z rykiem i tumanem,
Skrzypią ładowne wozy pod zbożem lub sianem,
Wracają pilne pługi i zębate brony,
Kosników czerstwy zastęp, wesół choć spocony,
A na boku ekonom, zamaszysty, silny,
Lub rzemieślnik przemyślny, albo leśnik pilny,
W głębokiej z gospodarzem zajęci rozmowie
Jako w polu oględni przed bitwą wodzowie,
Radzą mądrze, znakami popierając słowa,
Albo rysunkiem w piasku — niepojęta mowa,
Dla niewtajemniczonych — im tak w myśl uderza,
Że mrukną, pokiwiają i już jak z pacierza
Ni jeden się tłumaczy — ni drugi ogląda,
Wie ten już, co ma robić, czego tamten żąda.
Tu bywa, już o zmierzchu wyjdziem do ogrodu,
Po skwarze dziennym szukać rzeźwiącego chłodu.

Tam dęby rosochate, wieki dźwigające,
 Stoją jako przeszłości duchy dumające
 Cicho, dumnie, wspaniale — szczyty wysokimi
 Chcąc gwiazdom zajrzeć w oczy, gdzieś odbiegły ziemi.
 Posępna ich zieloność, jako kir grobowy
 Słoni twarde konary. Promień księżycowy
 Połyskuje na gładkiem liściu ich korony,
 Jak na starym pomniku napis wyłożony.
 A kiedy szumieć poczną — to tajemnym szumem,
 Jak gdyby z mogił wyszły stare duchy tłumem
 Na gawędę poważną. Wnet miesiące i gwiazdy,
 Co jak płóche boginki pośród nocnej jazdy
 W przezroczysty staw padły pluskać się falami
 I złotemi promieni igrać warkoczami,
 Wypłyną wszystkie na wierzch i w cichej zadumie
 Słuchają mowy duchów w tajemniczym szumie.
 Wnet i ludzka, choć żwawa i głośna rozmowa,
 Kiedy te dziwne duchów zaszeleszczą słowa,
 Rwie się, słabnie i cichnie — i zwolna umiera —
 I z pełną każdy piersią z cichem uniesieniem
 Kończy gwarną przechadzkę głębokiem milczeniem.
 I jam tu użył szczęścia, dzisiaj żegnam ciebie
 Wsi spokojna, swobodna jako sen o niebie.
 I was żegnam, wy ludzie rzadkiej serdeczności
 Którzy własnej swobody, zawsze bez zazdrości
 Użyczacie tak chętnie wszystkim bez wyboru,
 Których los, lub chęć wiedzie do waszego dworu.
 Szczęść Wam Boże stokrotnie w długie jeszcze lata,
 Aby może niejeden, co tu zakołata,
 Znalazł ulgę boleści i duszy wytchnienie
 I w drogę wziął z wdzięcznością miłe przypomnienie.
 Bądź zdrowa włości piękna! — niech tu szczęście Boże
 Rośnie jako twe dęby i tak niech się wzmoże,
 Ażeby lat następnych późne pokolenia
 Z równym cieniem znalazły równe przypomnienia.

Dr. H. Szuman.



Chłop, mędracy i cielę.

(Bajka).

Zdechło raz chłopu cielę, co nie chorowało.
 Mędracy jęli dociekać, czemu to się stało;
 Opukiwali trupa tak z tyłu jak z przodu,
 Nie mogąc nigdzie znaleźć zdechnięcia powodu.
 Nareszcie umyślili obwieścić wszechświatu,
 Że w zwłokach niema wcale śmierci symptomatu.

Chłop posłyszał ich zamiar, poskrobał się w głowę,
 A potem taką prostą miał do nich przemowę:
 „Ani ja taki mądry, ani tak uczony,
 Zwykłem jednak rzecz badać zawsze na dwie strony.
 Moje to było cielę, od mej siwy krowy,
 Zatem śmierć w trupie mieszka tylko do połowy,
 Drugiej koniecznie szukać trzeba w mojej duszy,
 Kto jej szuka w cielęciu na darmo mózg suszy.
 Jam ani ciężko myślał, ni trupa obracał,
 Ja choć prostak, a jednak powód śmierci zmacał.
 Otóż mi Pan Bóg daje swój znak nieomylny,
 Że bez Jego pomocy ja całkiem bezsilny,
 Że gdy On chce, to padnie nawet cielę zdrowe....
 Owóż macie i drugą tej śmierci połowę!“

Moralny sens tej bajki jak na dłoni leży,
 Kto ma prostotę chłopka, snadnie weń uwierzy.
 — I z martwego cielęcia prawdę czerpie dusza
 Wieśniaka, bo ją wszystko moralnie porusza.
 Mędracy patrząc na światy wciąż zachodzą w głowę
 I wciąż też widzą tylko tej prawdy połowę.

Ludwik Posadzy.

KOBIETOM.

I.

Kokietce: Jeśli jesteś piękną — świeć dalej. Jeśli jesteś
 brzydką — wiedz, że zalotność jest grzechem.

II.

Pięknej pianistce: Masz dwie straszne bronie: kobiecość
i — fortepian. Używaj ich szlachetnie.

III.

Aktorce: Uśmiechasz się za uśmiechy, kłaniasz się za hołdy;
jesteś właściwie — jedyną wdzięczną kobietą.

IV.

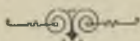
Blondynce: Nie uznaję innych kobiet jak blondynki.

V.

Brunetce: Nie uznaję innych kobiet jak brunetki.

Wiedeń, 21. listopada 1905.

Tadeusz Rittner.



Z cyklu sonetów:

ZWAŹPIENIA.

I.

Słoneczne blaski twoich źrenic są
Przewodnią gwiazdą w wirach błędnych kół,
Czy szczęściem świecą, czy też smutku łą,
Natchnień mych wątek z nich ja będę snuł.

Mistycznych pełna dusza moja drgnień
Pręży się w pętach, jak więziony ptak,
Eterów żadna przekryształnych teń,
Jak on chce dążyć w podniebiański szlak.

W prabytów ciemny zagłębiona cień,
Spragniona czeka na jasności znak.
I wtedy blasku mi twych źrenic brak
Oświecających mi zwątpienia dzień,
I prowadzących w błędnem kole dróg,
W które mię rzucił piekiel groźny bóg.

II.

Mistyczna w duszy mojej dzwoni pieśń
I ponad światów mię porywa krąg,
Więc zrzucam z siebie mą cielesną pleśń
I płynę śmiało w sfer przedziwny ciąg.

Stan dziwnych wrażeń w duszy mojej trwa,
 Dźwięk słyszę, jakby rozzwonionych srebr,
 A oślepnę lecąc, jak do ogni éma,
 Tęsknię do ciebie, jak do słońca gwebr.

I goni za mną nad światową cieśń
 Promienna czysta twoich źrenic pieśń,
 Więc czarnych zwątpień mię opuszcza krąg,
 I jasność świeci, jakby z skalnych żebr,
 Promienny słońca przecudowny blask
 Ponurych mgławic strącił ciemny kask.

III.

Lecz znowu gaśnie twoich źrenic moc,
 Znów myśli czarnych mię otacza rój,
 Prabytu pytań mię otacza noc
 Dręczący z wiarą rozpoczyna bój.

Powstaje we mnie pytań czarny kłęb,
 Jakby żmij wstrętny i potworny spłot,
 Wdziera się w duszy mojej wewnętrzną głęb
 I tłumi wierzeń moich górny lot.

A straszny kłębem opleciony mar,
 Minionych wołam przeuroczych dni,
 A źrenic twoich przepotężny czar
 Jeszcze w tych ciemniach iskrą słabą tli
 I może znowu rozetleje w żar
 Twych źrenic siła — a z nią jasność dni.

Poznań, w listopadzie 1905 r.

Walery Łebński.

U KRESU.

Gdy w cichą noc otwieram oczy
 I patrzę w ciemną dal bez końca,
 Wychodzą wtenczas hen z roztoczy
 Me myśli — i szukają słońca.

Jak ptak nad morzem w skrzydła biją,
 Do kresu lecą, by zasłonę
 Obłoczną zrzucić własną siłą,
 Przeniknąć bytu każdą stronę.

I nabierają siły w biegu,
W wszechświaty lecą, w mroczne cienia,
I na przepastnym stoją brzegu,
Gdzie wieczność wszystko przepromienia.

.....

Wracają ciche, pełne lęku
I tulą się pod granit wiary,
I oto trzymam je w swem ręku
I chowam do złocistej czary.

Ks. E. Nawroński.



POBUDKA.

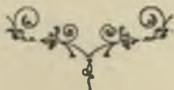
I.

Gdy z lutni strun
a z duszy łun
Się zerwie czynu pieśń, —
Rozdnieje noc,
a ducha moc
Uśmierci każdą pleśń!

II.

Byś z własnych sił
w rozkwicie żył,
By znikł z twej duszy chłód!
Bezczynność wróg,
bo w pracy: Bóg!
A życie?... wiedzy głód!

Edmund Orlic-Piechocki.





N.P.T. 1636



N. P. I. - 1636

1906